



HENRYK MAKARSKI
NAJŁATWIEJ NATRUDNIWIE

Wydawnictwo Lubelskie

Henryk Makarski (ur. w 1946 r. w Białej Podlaskiej) mieszka i pracuje w Lublinie. Opublikował dotychczas cztery zbiory poezji:

W ziemi stwardniałej tonąc (1972),

Operacyjny stół (1978),

Pragnienie (1978),

Schody bez końca (1980)

oraz powieść *Na tropie prapradziadka Waleriana* (1983).

Najłatwiej najtrudniej jest najszerszą z dotychczas prezentowanych propozycji poetyckich Henryka Makarskiego. Cztery cykle tomu wyznaczają kierunki poszukiwań. Przede wszystkim „Czarnoleski syndrom” – kilkadziesiąt, poprzedzonych cytatami z ponadczasowej poezji Jana Kochanowskiego, gorzkich (choć pełnych nadziei) komentarzy do różnych form nabrzmiałej historią codzienności (publikowane w „Kulturze”, „Życiu Literackim” i „Poezji”).

0

NAJŁATWIEJ NAJTRUDNIEJ

HENRYK MAKARSKI
NAJŁATWIEJ NAJTRUDNIEJ

Wydawnictwo Łódzkie

HENRYK MAKARSKI
NAJŁATWIEJ NAJTRUDNIEJ

Wydawnictwo Lubelskie

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



Projekt okładki, obwoluty
i karty tytułowej
MIROSLAW ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

Redaktor
JADWIGA BIALOWAŚ

Redaktor techniczny
ZBIGNIEW MAREK

XIII B Nak
REGIONALIA

K



97157

ISBN 83-222-0280-6

884-1

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1984

XIII B.1

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · LUBLIN 1984

Wydanie I. Nakład 1730+270 egz.

Ark. wyd. 5. Ark. druk. 10,25.

Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 70×100 cm.

Oddano do składania 27 lutego 1983 r.

Druk ukończono w czerwcu 1984 r.

Cena zł 60.—

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN,
Lublin, ul. Unicka 4. Zam. nr 421/83, L-2.

CZARNOLESKI SYNDROM

W tym artykule opisano czarnoleski syndrom, który jest rzadką formą choroby autoimmunologicznej. Charakteryzuje się on powstaniem w wątrobie i nerkach ciemnych, pigmentowanych guzków. Wskazano na związek między tymi guzkami a chorobami autoimmunologicznymi, takimi jak reumatoidalne zapalenie stawów i choroby skóry. Wskazano również na rolę w tym procesie czynnika TNF- α .

W tym artykule opisano czarnoleski syndrom, który jest rzadką formą choroby autoimmunologicznej. Charakteryzuje się on powstaniem w wątrobie i nerkach ciemnych, pigmentowanych guzków.

Wskazano na związek między tymi guzkami a chorobami autoimmunologicznymi, takimi jak reumatoidalne zapalenie stawów i choroby skóry. Wskazano również na rolę w tym procesie czynnika TNF- α .

ODRUCH WARUNKOWY

Ogrodziwszy sumnienie, ostatek czekajcie

(Jan Kochanowski)

jak dorożkarskie szkapy z klapkami na oczach
osłonięci od wiatrów które pod wiatr wieją —
odgrodzeni od prądów które pod prąd płyną
oderwani od ziemi która twórczo gnije
w aureoli zapachów nie perfumowanych
„beśpiecznie” bytujemy — spokojnie — wesoło
wazeliną smarując dłonie popuchnięte
od pracy i klaskania — od małych udręczeń

a jeśli już toniemy — to z pieśnią na ustach
z instrukcją wokół oczu (brzytwy wyszły z mody)

a jeśli pamięć po nas — to jak karta pusta
w pełnej misce ukryta — łakoma nagrody

1978

Nieźle czasem zamilczeć, co człowieka boli
(Jan Kochanowski)

ze wszystkich świętych rzeczy najbardziej cenimy
święty spokój — bezpieczny ogród w centrum miasta
choć ból promieniuje — zapewniamy bliźnich
że to promienie tęczy — że barwna sielanka

już mówić nie umiemy — już tylko czytamy
słowo grzęźnie w przelyku i na papier spada
jak ość najstarszej ryby na żółty pergamin
czasu — jak jej milczenie skryte w oceanach
lęku — jak dziki owoc na ubity asfalt —

tak milczymy — milczymy — milczymy — aż słowo
przestaje nas poznawać jak ojców wyrodnych
już tylko samych siebie bawimy rozmową
i marzymy już tylko — aby lustro rozbić

a tymczasem — pędzelkiem na ekranie listu
próbujemy kolory wskrzesić w twarzy dziecka
próbujemy nić ciepła choćby jedną wysnuć
z jego milczenia

1978

**NAD ARTYKUŁEM O BEZPIECZEŃSTWIE
KTÓRE NIE JEST NAM DANE RAZ NA ZAWSZE**

A wy tymczasem bądźcie, Polacy, cierpliwi,
Aż się jawnie pokaże, gdzie praw, gdzie krzywi

(Jan Kochanowski)

jakaż będzie ta nasza cierpliwość
czujna — twarda — z wyrokiem w portfelu
posiwała od nikąd donikąd
spokorniała w kotle sytych frazesów
umęczona tłumaczeniem bez końca
że jest świadkiem a nie oskarżonym
w najpodlejszym z dziejowych procesów

jakaż będzie ta nasza cierpliwość
by wytrzymać następny tysiąc
czujnych — twardych — posiwiających w pokorze
lat
rozśpiewanych nad Wisłą

jakaż będzie ta nasza cierpliwość
ile lat wytrzyma w milczeniu
milczeniu — które nie jest ciszą

1978

NAD PUSTYM DRUKIEM DEKLARACJI

A jeśli komu droga otwarta do nieba,
Tym, co służą ojczyźnie...

(Jan Kochanowski)

chciałbym służyć ojczyźnie — lecz nie być służącym
by w niebo naszych marzeń z podniesionym czołem
wstąpić

chciałbym się angażować — lecz bez tłustych angażów
bez pieczętek pisemek i wykazów gładkich
ot tak — bez okazji

chciałbym mieć imię „godność” — nazwisko „odwaga”
lecz nie być bezimiennym jak ryba w ławicy
jak ryba która kiedyś z pewnością przemówi
kiedy akwarium morza naszych obietnic płynnych
rozpadnie się w naszych złości Trójkącie Bermudzkim
za miliony
(za miliony lat)

chciałbym wierzyć w to wszystko co takie różowe
zanim ciałem się stanie póki jeszcze słowem
rozpostartym nad głową — okrzykiem marszowym
wielkim snem

1978

SUMIENIE — CIEŃ ODWAGI

Swoje sumienie każdego ma sądzić

(Jan Kochanowski)

każdy z nas — mistrzu Janie — przyznaje ci rację
tak po cichu — przed lustrem — sam na sam ze sobą
gdy po wódce już z całym rozprawia się światem
i żony swoich wrogów okrywa żałobą

każdy z nas — mistrzu Janie — tę rację ci przyzna
wznosząc toast przy martwych szczerze okiennicach
krzyczy głośno „patriotyzm — uczciwość — ojczyzna!”
a w duchu żebrze jeno: „może się nie wyda!”

każdy z nas — mistrzu Janie — bliźniego by nabił
na pal gorliwej pychy w imię racji stanu
lecz nie każdy ma w sercu ten kryształ odwagi
by przyznać się do winy — ni razu nie skłamać

ja? przed najwyższym pomnikiem pasa nie zaciskam
Boga nie znam — przed diabłem na baczność nie stoję
i okolicznym bóstwom nie kłaniam się nisko
i ostatniej złotówki nie dzielę na troje

a choćby trzeba było łeb na pieńku złożyć
i na żyłce prawdy zagrać koncert
krzyknę w ostatniej chwili: „ludzie — król jest goły
na Wyspach Kanaryjskich za nasze pieniądze!”

choćbym zginął w milczeniu waszym — ale w blasku
serca — rozsazanego prochem wiernych marzeń

startych na proch onegdaj — choćbym oczy zasnuł
dymem gryzącym wasze marmurowe twarze
jeszcze po mnie
sumienie
nasze
pozostanie

1978

ŚNIŁ MI SIĘ SEN

O nierządne królestwo i zginienia bliskie,
Gdzie ani prawa waża, ani sprawiedliwość
Ma miejsca, ale wszystko złotem kupić trzeba!

(Jan Kochanowski)

śnił mi się sen w kolorze rdzy biało-czerwonej
książki płaczą w rynsztoku — książki na stosie płoną
kodeksy karne — biblie — statuty i wiersze
ogień czyta najszybciej — ogień rzeźbi przestrzeń

pod ścianą z krwawej cegły las najbliźszych dłoni
nad głowami wielkimi — a na ciemnym tronie
siedzi kukła bez głowy ale z rąk stonogą
i brzuchem tak nadętym jak nadęte słowo

huk wystrzału — las pada — ścięty jedną salwą
kukła siedzi — sto dłoni równo bije brawo
w stu szkołach sto dyskotek zamiast stu problemów
nawet sroki umilkły i błazen oniemiał

a nad tym wszystkim złotym
ponad chmurą plotki
powstaje z klęczek
biało-czerwona
tęcza

1978

NAD PROGNOZĄ ROCZNIKA STATYSTYCZNEGO
ZAWIESZONA GŁOWA WIERSZA —
UPARTE SŁOŃCE BÓLU

Tak podobno wszystko łatwiej słowy wyrzec,
niżli rzeczą samą wypełnić

(Jan Kochanowski)

król obiecał po stokroć — nie dotrzymał słowa
opisał to poeta — wnet mu ścięto głowę
głowa zastygła w krzyku jako perła gniewu
wyrzucona przed wieprze utuczone słowem

nie smuć się — głowo — słowo jest rośliną
która z chwastów wyrasta i sama jest chwastem
o stu twarzach — a zasię skoro jest pokrzywą
i tchórz się po niej czolga — parzy go uparcie
aż do powstania z klęczek — aż po akt odwagi

nie smuć się — głowo — słowo jest rośliną
która z ziarna wyrasta i sama jest ziarnem
rodzącym w nieskończoność — ogniwem łańcucha
co próżnię kuli ziemskiej chciwie opasuje
zgrzytając po korycie prastarej orbity

nie smuć się — głowo — słowo jest rośliną
którą podlewać trzeba najprzedniejszym winem
uczynków naszych — by nie uschła przecie
w oazie referatów zapatrzonych w siebie
wśród stada ziaren piasku — klaszczącej pustyni

nie smuć się — głowo — słowo jest rośliną
która odurza i usypia wreszcie
snom dobrorzeczy i zsyla marzenia —
oto dojrzewa w bieli i czerwieni
sad pełen jabłek — jabłek jednakowych
spadają jabłka jak dojrzałe głowy
czekają wieki aż je ktoś pozbiera
gniją i marzą o stubarwnej tęczy
o wiatrach świeżych — skrach październikowych
o wielkim ogniu który strawi śmietnik
i żeby w końcu tak rzeczą wypełnić
pustkę zdyszana — pustkę zatłoczoną
która otacza nas na bruku ulic radośnie nieskończonych
izby rzecz można że ta pustka tylko
rośnie na igle tępego języka
papugi
którą mówić nauczono

nie martw się — głowo — ciebie wszak już nie ma
na ściółkę sadu wykrwawia się tęcza
marzenia wyciekają z obciętej makówki
mak już olejem ciecze (szkoda że tak późno)
i użyźnia dno ziemi — z tego dna wyrasta
młoda jabłoń — od nowa dojrzewają jabłka
jak dojrzewają głowy

1978

KRÓLESTWO MOICH MARZEŃ

Tylko niezgoda sławna, Polsko, twoja

(Jan Kochanowski)

królestwo moich marzeń pachnie miodem i mlekiem
słowikiem — bzu gałązką — waciakiem przepoconym
król ma płomienną dykcję i niepodległe serce
twarz jedną — sto kłopotów zamiast korony

wyjmuje cierń po cierniu i kładzie na tarczy
którą niesie przed sobą i zrzuca ze skały
milczy — milczą poddani — prawice obrzękle
mając — od ciężkiej pracy

poddani postrzyżynom własnego sumienia
tępych nożycom zgody przymilnie w oczy patrzą
chrześzczą szare komórki a w nich drży zamknięta
królowna ideałów — z wagą i opaską

strzeże jej dwóch dworaków — „wygoda” i „chciwość”
spasionych — w paragrafów włócznie uzbrojonych
które ostrzą o wiatrów historycznych grzywę
gdy wieją — raz z tej jasnej — raz z tej ciemnej strony

jak zdobyć szklaną górę — rycerzy jest czterech
czterdzieści cztery plany — setki załączników
rzą już krwiste pieczętki — rumaki podniebne
i dudni referatów marszowa muzyka

królestwo moich marzeń pachnie miodem i mlekiem
słowikiem — bzu gałązką — waciakiem przepoconym

szklana góra wciąż czeka — debatuja jezdźcy
„liberum veto” pobrzmiwa jednym zgodnym tonem
namiotów wciąż przybywa — rosną szklane domy

1978



STOJĘ NA CZCZO PRZED WAMI
— GOSPODARZ DOMOSTWA

Nadzieja dobra serca niech podpiera,
Zaż to, że źle dziś, ma źle być i po tym?

(Jan Kochanowski)

spowiadam się przed wami z czczego optymizmu
stojąc na czczo przed bramą z napisem „ojczyzna”
pukam do drzwi otwartych — bo chcecie bym pukał
i przemawiam — choć nie wiem czy mnie ktoś wysłucha

stoję przed wami na czczo — pełen czci i lęku
i śpiewamy na głosy tę samą piosenkę
której refren — odbity od dłoni — powraca:
„najważniejsza jest praca — praca — praca!”

ogień stygnie za bramą i dłonie rdzewieją
brudem gniewu porasta dom — chwasty pęcznieją
w tym zachłannym bezruchu — w pazernym nieróbstwie
chochoł gra kołysankę i czeka aż usniesz
późny wnuku Chrobrego — ale i warchoła
któren sejmy rozbijał i do zwady wołał
ciemnym łbem tłukąc kufle w brodatych oberżach

stoję przed wami na czczo z półbochenkiem chleba
drugie pół wy dodajcie — nim anonim warchoł
nie podszeptnie wam nagle by chleb wdeptać w błoto
uszy sobie odmrozić na złość matce ziemi
tak — trudno być prorokiem między swymi — wierzyć
że wszyscy umiecie czytać pisać i rachować

stoję przed wami na czczo z posiwiąłą głową
i raz jeszcze przemawiam — nie wiercie chochołom

skrytym między wierszami ładoburczych treści
patrzcie — u waszych stóp stępionych pleśnieją okręty
naszych marzeń — i gnije robaczywy owoc
naszych rozmów — śpi praca a ujada słowo

stoję przed wami na czczo i raz jeszcze proszę
w imię całego domu — nie wiercie chochołom
nie tańczcie jak zagrają — bo gdy utonie okręt
na którym dziś płyniemy: my pójdziemy na dno
a oni — znów nas ogłoszą narodów papugą
bękartem pstrych chwil

skończmy ten koncert życzeń — nim nas diabli wezmą
nim tęczę naszych pragnień na strzepy rozerwą
jak postaw sukna kiedyś
plamę polskiej krwi

1980

PYTANIE RETORYCZNE

Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy

(Jan Kochanowski)

ej — chochole warchole! czyj ty jesteś? powiedz!
czyj wiatr ciebie tu przywiał? z czyjej strony świata?
czym ty dziewosłębem? czyjej barwie służysz?

ej — chochole warchole! jakiś ty pobożny
kiedy pokłony bijesz ceniom starych latarni
opluwając portrety zastygłe w kałuży
każdy portret to inny grymas — inna maska
tej samej prywatności — która w nas się burzy
fermentem świeżych soków — na cudzych kolanach
klęczysz przed drogowskazem — krzyczysz cudzym głosem
wątpię czy ty własnego jeszcze masz cokolwiek
i czy w ogóle istniejesz — przecież cię nie widać
a jednak gdzieś tu jesteś o! sadzawko wstydu
zarośnięta zielenią pieśni o zwycięstwie
a może we mnie siedzisz lecz ja o tym nie wiem?

w nurtach mojego ciała skryty — jak Światowid
na dnie Zbrucza — już stroisz narodowe skrzypce
o jednostronnym zgrzycie na nutę bojową

ej — chochole warchole! w czyją patrzysz stronę
i która z twoich twarzy jest teraz prawdziwa?
komu wierzysz — a komu szykujesz koronę
cierniową?

1980

DOBRA RADA — SZEROKI GEST DZIEJÓW

A nawięcej tego strzeż, abyś na urzędy
Lakomych ludzi nigdy nie sadzał, bo kędy
Sprawiedliwość przedajna, tam przekłętwo wielkie
(Jan Kochanowski)

najłatwiej komuś nałożyć koronę
najtrudniej zdjąć ją gdy już wrośnie w czoło
co począć? pomnik przewrócić? cokoły
świecą pustkami — sępy już nad domem
ostrzą pazury — hieny z nor wychodzą

łatwo wpuścić do biura małpę zwaną chamelem
szarańczę ciemną która nie zna dużych liter
co począć gdy łapczywie wypiją atrament
korzeniami krwi czarnej obejmą dom wszystkich

brudna rzeka krwi krewnej wzbiera w koleinach
historii — grzbietem nurtu dziwka się przemyka
na szalkach sprawiedliwej wagi jak w kajaku —
opaskę z dederonu na oczach zaciska
czym prędzej — od początku rdzewieje kurtyna
teatru prywatnych marzeń i publicznych faktów

a we mnie — dziwny spokój i radość rodzinna
wierzę w prognozy — pranie na balkonie ujawniam
a tak sobie — na wszelki wypadek
parasol noszę
i mokrym palcem sprawdzam
kierunek wiatru

ŁATWO — ŁATWIEJ — NAJŁATWIEJ

Bodajże wam smród w gębę, mili pijanice

(Jan Kochanowski)

tak najłatwiej — najprościej — najczęściej — najtaniej
półlitrem zachichotać — rąbnąć pięścią w stół
a potem się rozprawić z okolicznym światem
najgrubsze kolki problemów przełamać na pół
słowami chłostać króla jako szkapę batem

tak najłatwiej — najprościej — najtaniej — najczęściej
wypowiadać się z Polski — wyplakać jak bóbr
w rękach hien farbowanych — w ucho plotki — w kieszeń
pachnącą owocami zakazanych dóbr
za granicą rozsądku — w upodleniu lesie

a najtrudniej — nazajutrz w to wszystko uwierzyć
przetrzeć lustro rękawem — w oczy sobie spojrzeć
oswobodzić choć słówko z tego cośmy chcieli
rzucić w twarz prezydentom i wymieszać z błotem
borowiny jątrzącej — serią słów zastrzelić

łatwo piwa nawarzyć — trudniej wypić potem
gdy staniemy przed sądem nie uspiomych wspomnień
gdy staniemy przed bramą sennego więzienia
przed słowem które wyszło pijackim bełkotem
a wraca trzeźwym wstydem — wyrzutem sumienia

1980

OLIWA MĄDROŚCI

Uprzejmość moję złością mi oddali,
Miasto ratunku samiż zasiadali
Na gardło moje

(Jan Kochanowski)

jest taki las między Bugiem a Odrą
gdzie plenią się pomysły niczym muchomory
trujące ale gładkie — a w tym cała mądrość
że białym i czerwonym zdobione kolorem

jest taki jarmark między Bugiem a Odrą
gdzie kupić możesz wszystko — nawet własny honor
nawet zazdrość bliźniego — bezinteresowną
na widok twych sukcesów ponad zwykły poziom

jest taki kraj między Bugiem a Odrą
gdzie chamstwo chce być klasą o najwyższej klasie
gdzie „dobroć” znaczy „słabość” — więc niech ginie dobroć
i jest wrogiem dozgonnym — kto myśli inaczej

jest jednak taki czas między Odrą a Bugiem
gdy milknie warkot maszyn i języków warkot
cichnie uprzejma podłość i nasza zasługa
wypływa jak oliwa na powierzchnię stawu

jedni mówią że to krwawi okręt
skołowany w zamkniętym akwencie
tonie

a ja — że to oliwa mądrości
po szkodzie

1980

RUTYNA

Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Ze i przed szkoda, i po szkodzie głupi
(Jan Kochanowski)

wylać dziecko z kąpielą — cóż prostszego przecież
a potem głowę w piasek — i już cicho o nas
przeczekamy czas jakiś aż szefa powieszą
i do nowej kąpieli sposobić się pora

obmyjemy się zgodnie z uroczystych plwocin
i karczować ugory przyjdzie nam mozolnie
a kiedy pot ułański zaleje znów oczy
ukradkiem otwieramy albumy spalone
by zburzone pałace oglądać łapczywie
i marzyć marzyć marzyć marzyć znowu o czymś
co wyrośnie z niczego i bliźnich nie zdziwi

a kiedy woda w wannie wrzeć pocznie od nowa
znów zapomnieć o dziecku nakaże tradycja
znów płaczliwa pokuta — znowu wielkie słowa
pospolite ruszenia — petycje — banicje
apetyt nienasycony przy odświętnym żłobie
i ten śmiech
drwiący śmiech pokoleń

1980

JESZCZE JEDEN APEL CZYLI CO LUBIMY

Służmy pocteiwej slawie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega

(Jan Kochanowski)

wielkie słowa szczególnie lubimy
wielkie gesty i wielkie dramaty
gdy fabryczka — to już kombinat
gdy przodownik — to już bohater

a gdy potu utoczyć nam każą
(czyli krwi pokojowej wojny)
tak zwyczajnie — bez krzyku i szarży —
wtedy wędnie kwiat cierpliwości
i ten sam się powtarza scenariusz:

kasa — program — plan — referat — kasa
wykaz słów i snów nadliczbowych
kasa — projekt — patent — narada
znów narada i — sen zimowy
w nowoczesnym lodowym baraku

w snach jesteśmy mrowiskiem jednakich
mrówek — skromnych — pracowitych — uczciwych
których nikt nie zachęca do pracy
których nikt na kredyt nie żywi

a na wiosnę — kiedy sen stopnieje
i gdy przebrzmiają noworoczne toasty

dzień na kacu wstaje — dzień zwyczajny
transparenty — zachęty — apele
znów się plenią jak opasłe chwasty
stu przemawia a jeden rękawy
zakasuje — klnie — pije — i robi

a nocą
do wszystkich
zatrudnionych w tym pogotowiu bojowym
przychodzi Jan Kochanowski

ale
wysmiewają go
bo
jest zbyt prosty — niezbyt naukowy
i dlatego
ten prostak
posłusznie w kącie stoi
jako wieszak

niech skruszeje — niech się wyrobi
a kiedy
już się nauczy na pamięć
modnych melodii —
pochwalimy go
jak należy

1980

LIST DO WŁADCY MOICH SNÓW

Nie ufa swej sprawiedliwości,
Kto złotu mówić od siebie rzecz każe
(Jan Kochanowski)

ta twoja sprawiedliwość — mała złota rybka
w ogromnym akwarium słów zamknięta — dokładnie
widzi wszystko i my też widzimy ją wszyscy
a jednak nie może przebić ściany niewidzialnej
no i — oczywiście — milczy

tylko czasem — wstydliwie jakby — jakby nocą
przypomni sobie nagle że jest rybką złotą
złotą złocistą złociuchną złoteńką rybeńką
hołubioną bez miary — i wtedy maleństwo
zaczyna kwilić

rybka śpiewa posłusznie — śpiewa bez wytchnienia
i krewnym spełnia wszystkie potrójne życzenia
pytasz — człowieku — jak to jest możliwe
oto do złotej rybki złoty pieniądz płynie
drogi pociotek

złocista tęcza nad akwariem krwawi
złoty cielec referatów rozwija sztandary
na półkach aptek złotych myśli śpi narkotyk
i złote kłapki mądrym spadają na oczy
wszystko jest złotem

złocistym pokrewieństwem
najdroższą rodziną
wielkim snem
postawionym na głowie

WIDZĘ TO WSZYSTKO NA ODWRÓT

To pan, zdaniem moim, kto przestał na swoim;
Siła posłał włości, kto ujął chciwości

(Jan Kochanowski)

widzę to wszystko na odwrót — zacny mistrzu Janie
na tłustych włościach złoto jako chwast się pełni
że zliczyć trudno — bogatym diabeł dzieci bawi
dzieciom wille buduje i twarze rumieni
wstydem o którym tylko usłyszysz sam diabeł

widzę to wszystko na odwrót — zacny mistrzu Janie
w piekle chóry anielskie i diabłów w ornatach
widzę — oto w szufladach wysycha ocean
naszych myśli — a skały drąży zwykła kropla
za kroplą — kapie woda na twarde ugory
biurek alabastrowych — biurek marmurowych
fetor czasu gęstnieje i wybuchem grozi

o! zacny mistrzu Janie — widzę to na odwrót
może dlatego żem musiał stanąć już na głowie
by pokazać że jestem — że czekam — a przecież
stoję na głowie własnej — sprawdź moje podeszwy
próżno by szukać na nich śladu cudzych włosów

ręce także mam czyste — czyste konto w banku
czysty głos — który woła a wiatr skargę nosi
po orbicie opasłej — po zamkniętej bieżni
ja — mam rację — a oni — mają swoje włości
i sam diabeł nie wyrwie tego z korzeniami
choćby chwasty wyplenił do kilku pokoleń

choćby wszystko postawił do góry nogami
choćby żywym i martwym pozamieniał sny
chyba że... chyba że... chyba...
chy... chy... chy...

1979

PAJĘCZYNA

Prawa są równie jako pajęczyna:
Wróbl się przebiję, a na muszkę wina
(Jan Kochanowski)

mistrzu Janie — czas leci — już nie pajęczyną
jest owa sprawiedliwość — złoty nóż na gardle
jest siatką maskującą podłość grubych czynów
argumentem pająka w najwyższym przetargu

pułapką dla poetów — krzyczących w obłokach
lekkomyślnie — miast milczeć z nosem w twardej ziemi
elastyczną odskocznią dla tych co na stołkach
wysokich — przepijają ostatni kęs schedy

czas tętni — może jutro sieć tak spotężnieje
że gruby zwierz się złapie a muszka przeleci
zwierz leży jak w hamaku i dalej się śmieje
milion muszek już brzęczy arię dla atlety

zwierz tyje — hamak trzeszczy — muchy się jednoczą
zwierz ryczy — nic nie widzi i jego nie widać
miliony much spasionych skacze sobie do oczu
która chudsza a która dłużej zwierza gryzła

muchy tłuste jak zwierze snują sieć pajęczyn
czas tętni — mistrzu Janie —
czas tętni

1979

JA — TLUM — LATAWIEC WSZECHOBECNY

Panie mój (to największy tytuł u swobodnych)

(Jan Kochanowski)

ech! jakże my kochamy rodzinny teatrzyk
zagubiony w kosmosie samolubnych planet
ech! jakże my wierzymy że będzie inaczej
jeśli inny reżyser inną rzecz wystawi
na licytację naszych wygłodniałych marzeń
o obżarstwie — kurtyna jest ta sama przecież
co zawsze — choć oklaski nie zawsze te same
i nie taki sam zapał — ugrzęzły w papierze

pod sufitem latawce jako ćmy stłoczone
szukają dziury w całym ażeby się urwać
ze sznurka obowiązków — dzwonią puste dzwony
na trwogę — sztuczne ognie witają entuzjazm
prawdziwy — wiatr historii chichocze w chorągwiach
rozwijanych z nadzieją że tym razem wojska
nie potopią się w bagnach — depcząc stare ślady
refren błyszczą na wargach: „doprowadź nas panie
wszak panem naszym jesteś — panem uwielbianym”

a kiedy wreszcie wsiałam na jaskrawy obłok
swobodny jak latawiec i głośny jak dzwon —
mówię do siebie: panie — jesteś mną — ja tobą
młczę do siebie: sługo — ja tobą — tyś mną

1979

ZAPROSCIE NAS DO STOŁU

Przełożonych występki miasta zgubiły
I szerokie do gruntu carstwa zniszczyły

(Jan Kochanowski)

wy — którzy rządziecie rzeczą tak pospolitą
że pospolite ruszenie we krwi nam się burzy
wy — którzy w rękę trzymacie ludzką sprawiedliwość
odłóżcie na bok słowo — bo słów jest za dużo
zaprosicie nas do stołu — do wspólnej wieczerzy
przy polskim stole siądziem — niechaj się pokaże
czy te same kłopoty mamy na talerzach
my — potomkowie Lecha — ci sami Słowianie

lecz nim kielichy z miodem wykwitną nad nami
zdejmijcie rękawiczki i dłonie odsłońcie
a potem — w górę serca! — i niechaj brzęk szklanicy
odpędzi złe duchy od naszego domostwa

staropolskim zwyczajem przebaczym zniewagi
i staniemy do pracy — co było to było
tylko czasem — po ciemku — łza spłynie po twarzy
zębem zgrzytnie odwaga — pamięć z bólu wyje

do są sprawy — są takie samotnie
które człowiek — kimkolwiek jest —
musi przegryźć
sam
sam w sobie

1979

NOC

O piękna nocy nad zwyczaj tych czasów

(Jan Kochanowski)

ta noc w blasku okrzyków ponad mgłą korony
ta noc pod kloszem szklanym naszych niedomowień
ten czas całowania okruszyn chlebowych
ten czas pokutnych modłów — czas spędzony w tłumie

ten zgrzyt słowa o słowo — pamięci o pamięć
ten zgrzyt bieli o czerwień — zgrzyt kosi o kamień
ten krzyk rosnący w siłę — czasem krzyk dla krzyku
bełkot pijanych żalców na miejskim śmietniku

trwa noc ponad zwyczaj dwulicowych czasów
czy piękna? świt dopiero jej urodę zmierzy
strzelec znużony zaśnie — wilki pierzchną do lasu
ostrzyć kły na kolejną „ostatnią wieczerzę”

człowiek zaciśnie pasa — odmaluje tęczę
odkurzy
odświeży

1980

JAK UWIERZYĆ

Prawdy nie masz na ziemi,
Nie masz ufać komu!

(Jan Kochanowski)

jak uwierzyć wilkowi — że pilnuje stada
szczurów dziś za plecami więcej niżli ludzi
choć instrument się zmienił — melodia ta sama
filozof — wariat szuka człowieka i gubi
rację bytu — nie liczy uśmiechów na twarzach
ani rąk uściśniętych — nie liczy przemówień
tylko liczy na siebie — i traci rachubę
w dżungli własnego lęku — w rezerwacie marzeń

jak uwierzyć wilkowi — że pilnuje stada
wszak to głównik — morderca o pysku ogromnym
a wierzyć komuś trzeba — może najpierw sobie?
a potem? wierzyć trzeba — ziemia nie jest wyspą
bezludną — wiatr gnie drzewa — drzewa się kłaniają
trawie — trawa ziemi — człowiek człowiekowi
to wszystko

1980

PO OBU STRONACH KRATY

Co bez przyjaciół za żywot? Więzienie
w którym niesmaczne żadne dobre mienie

(Jan Kochanowski)

lepszy w więzieniu spokój — niż swobodne piekło
niżli ogień przyjaźni — nad którym cię smażą
radośni przyjaciele — w kotle czczych frazesów
gotując smołę przysiąg na ochłodę marzeń

lepsza samotność w klatce niż samotność w tłumie
który wsysa jako bagno — pod jednym warunkiem
wszakże lepsza — jeżeli jedynym klucznikiem
owej celi ty jesteś — jeśli tylko umiesz
otworzyć własną celę w chwili gdy muzykę
własnej woli usłyszysz — jeśli się obudzisz
z letargu nieufności — z miłości do ludzi

1980

W KRAINIE WYGODNEJ OBOJĘTNOŚCI

Pełno nas, a jakoby nikogo nie było

(Jan Kochanowski)

coraz więcej tu ludzi — coraz mniej człowieka
pełno nas — lecz gdy krzyknę to mój krzyk nie wraca
wiernym echem — odzewem — ale grzęźnie gdzieś tam
w chytrych mrowiskach uszu słyszających nie zawsze

coraz więcej tu ludzi — i więcej zmęczenia
marszem bezdusznych kłótni (uśmiech lodowaty)
na pustej autostradzie pędzącej na cmentarz
kona nasza serdeczność — potracona fiatem

1980

LIST DO PRZYJACIELA

Ręka umywa rękę, noga nogi
Wspiera, przyjaciel port przyjacielowi
(Jan Kochanowski)

nie zbrukam twego portu obecnością moją
zbyt długo każesz czekać przyjacielu drogi
na cny gest — zaproszenia ospały holownik
ostrożnie maści falę bezpiecznej zatoki
obwarowanej skrzętnie po ostatnią boję

przyjacielu żmijowy — druhu krokodyli
lisia kito — przechero z pałacej pokrzywy
nim ręka rękę zmyje — noga nogę zwali
z nóg — zanim ta przyjaźń zdąży się przepalić
jak cukier z chlebem — popatrz chociaż raz w tę stronę
gdzie nasze domy stare — domy porzucone
gdzie dzieciństwo najszczęśliwsze — uśmiechy prawdziwe
pośród kromek ze smalcem — połatanych pilek
pośród rąk spokorniałych — na ojcowym polu
pośród tego wszystkiego — co cieszy choć boli
razem byliśmy wtedy — na tym samym chlebie

nie zbrukam twego portu obecnością moją
śpij spokojnie w pałacu upstrzonym lustrami
a ja — pójdę na łąkę — do lasu — we dwoje
z poezją przyjaciółką — jakże bez przyjaźni
żyć

DO SPRZEDAWCZYKÓW

A człowiek twarz wyniosłą
niesie przed wszystkimi
(Jan Kochanowski)

o! potomkowie Lecha słowiańskiego
jakiż kolory twarze wasze zdobią
gdy na jarmarku w Budapeszcie
Polak szlafrokiem macha jak chorągwią?

z jakimiż wrogi walczą ci husarze
i o czyj honor kruszą na obczyźnie
kopie godności? lśnią spocone twarze
prosząca ręka — chwast natrętny — kwitnie

gdy syn zapyta po lekcji historii
jaki twój sztandar był i w jakiej glorii
zwycięstw tętniłeś — czy mężnie odpowiesz
że wojowałeś pod proporcem frote?

1980

WYŚCIGOWY TREN

Nie dziw tedy, że ludzie cisną się za złotem,
A poeta słuchaczów próżny, gra za płoćm

(Jan Kochanowski)

przed płoćm opamiętania kłębi się uprzejmość
ludzie ze sztachet zdejmują pęknięte garnki wierszy
czerpią nimi benzynę — ale treść wycieka
a ludziom szkoda czasu by skorupy skleić

za płoćm opamiętania — sam — w jarmarcznej klatce
siedzi poeta w dżinsach — pije piwo rozpaczy
rozbił już setki luster — by na siebie nie patrzeć
pije piwo mądrości które sam nawarzył

znowu — przez szparę w płoćm — dłoń ufną wyciąga
do zgody — skrada się człowiek i zrywa obrączkę
a kartką wiersza wyciera — jak białą chorągwią
pot gonitwy — jest gotów do dalszych okrążeń

poeta piwo dopija — odycha obłokiem
i poprzez świst batoga — poprzez tętent kopyt
śpiewa pieśń na śmierć konia — erotyk żalobny
rozpostarty między jawą a snem
taki sobie — codzienny — wyścigowy
tren

1980

HISTORIA O ŁZIE

Sobie śpiewam a muzom. Bo kto jest na ziemi,
Co by serce ucieszyć chciał pieśniami memi?

(Jan Kochanowski)

szuflado cierpliwa — nabrzmiała od metafor
opowiem ci historię nieprawdopodobną
otóż pewnego razu — schylony przed klasą
w pewnym liceum wiersze czytałem — i oto
blondynce z pierwszej ławki łza zakwitła w oku
łza wzruszenia — na zdrowie mej poezji klnę się
że tak było — szuflado — powierniczko mroczna
i milcząca — uwierz w mojego głosu drzenie

dziewczyno lirycznej chwili — wymowna choć niema
ja
teraz
gotów jestem
po tę następną łzę
choćby na koniec świata
pojechać

1980

Bo z rymów co za korzyść
krom próżnego dźwięku?

(Jan Kochanowski)

tęgo dźwięku nie wolno przeliczać w kartach
ani ważyć na szali jubilerskich blasków
nie ma go — lecz jest wszędzie — w każdej stronie świata
kłuje uszy w zaułkach i kłuje w pałacach

śmiejmy się! — śmiechu nikt nam jeszcze nie zabrania
ot — płacze jakiś dziwak — poeta czy wariat
w metafizycznej włosiennicy

a ja wiem
że poeta już dzisiaj dokładnie
widzi to — co uczony
za sto lat wyliczy

1980

PODWÓJNOŚĆ

Niezwykłym i nie leda piórem opatrzony
polecę precz, poeta ze dwojej złożony
Natury.

(Jan Kochanowski)

ja — teraz — już nic nie wiem — nie wiem — nie wiem
— nie wiem
i lęk mnie dławi że jutro jeszcze mniej mnie będzie
czas mój tym wolniej splywa im ciało szybciej biegnie
rwą się proporcje między marzeniem a sumieniem

urzędnik i poeta — tych dwóch we mnie warczy
na siebie — a ja tylko powłoką i tarczą
jestem — do której strzela każdy kto tych obu
nienawidzi — w nadziei że utrafi w głowę
właściwą — a tymczasem ja stoję na baczność
jako cyganka w cyrku — gdy cygan nożami
rysuje wokół jej głowy granicę oddechu

i jak tu spocząć — jak uciec od siebie samego
noże za mną pofruną wraz z całą areną
i znów będzie okazja popłakać ze śmiechu
tak szeroko — tak zdrowo

bo ten cyrk — bracie — jest nieśmiertelny
on — człowieku —
najwyżej miejsce postoję może zmienić
najwyżej go odświeżą
na inny kolor

1980

ŚWIEŻE POWIETRZE POEZJI

Rymy głupie, rymy nieobaczne,
W których jako we zwierciadle znaczne
Me szaleństwo, idźcie w ogień wszystkie

(Jan Kochanowski)

człowieku — mówię do siebie — czas spoważnieć nieco
czymś pożytecznym się zajmij — na samochód składaj
patrz — z drzewa zaufania zeschnięte liście lecą
i żona — w zwykłej pralce wyżęta — już z tobą nie gada

człowieku — ja na to do mnie — przecież już wrzucałem
zeszyt w twardych okładkach do ogniska — ale
wiersze — mokre od potu — nie chciały się zająć
choćby iskrą — mgła pary między nami stała

żeby to tylko mój pot... — człowieku — w tych wierszach
jest lęk zwyczajnych ludzi — oblicze szaleństwa
zbiorowego — to nie jest już prywatna sprawa
mojego chcenia — przestałem być już gospodarzem
tej stadniny — gromada wspólnym życiem tętni
oszałamia mnie znowu świeże powietrze poezji
a ja? znów się uśmiecham — oddycham i marzę
o czymś pożytecznym

1980

ZONA

Zona uczciwa ozdoba mężowi
I napewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszytek; swego męża ona
Głowy korona

(Jan Kochanowski)

o wszystkim innym potrafię poematy składać
pęczkami pięknych metafor przystrajając stragany
na tym wielkim jarmarku — z kosmosu widzianym
jako głowa laciata — martwa — niema — blada

o wszystkim mogę — ale hymn o żonie stworzyć
to jakby kochać dziecko nie zaznawszy bólu
rodzenia — zawsze bowiem w tym pięknym obrazie
cień zazgrzyta na chwilę — niepewność — niedosyt
że nie wszystko — nie w pełni — że chyba inaczej
a wtedy głowę zwiesić — pomilczeć — i ulec
podszeptom rozedrganym tętnem złej gorączki

ale — gdy znów wypłynię ze zmęczonych powiek
jedna jedyna lza twoja nieumalowana
nad chorym dzieckiem — nad codziennym głodem
czasu — ciepła — miłości — szacunku i zdrowia
wtedy — błysk — mgła jaśnieje — i nie ma już dla mnie
nieba bezpieczniejszego ponad twoje niebo
ponad twój głos cichnący i oczu żalobę
ponad wszystko co dla mnie jest szlachetnym złotem
dzielnej korony — owocem słodkim — a dla ciebie
zwykłą opaską cierniową — powszednim chlebem

1980

ZŁOŚĆ W PAJĘCZYNIE CZASU UKWIECONA

Zastarzały w długim wieku,
Ale więcej w złości

(Jan Kochanowski)

kogóż winić za starość — włosy posrebrzane
są tylko barwą kwiatu — a kto sieje ziarno?

masz trzydzieści trzy lata i zmęczoną pamięć
cóżś zawinił bracie nieśmiertelnym dziadkom
dziadom proszalnym naszej hojnej cierpliwości
żeś ty młody a oni słów nie mają dosyć?

czy zdążysz bracie przed prawdziwą śmiercią
tak całkowicie się narodzić
by zdążyć jeszcze stać się sobą?

co powiesz dzieciom
kiedy uschnie słowo?

1980

WTÓRNY ANALFABETYZM

Już wiosna, już lato minie,
A ten z głowy mróz nie zginie

(Jan Kochanowski)

no cóż — życie upływa i twardnieje pamięć
dzieci rosną — schną drzewa — pleśniejają pomniki
a nam skrzydła u ramion — a nam coraz raźniej
z każdym dniem — wróg śmiertelny kto starość w nas widzi

coraz młodszy — mądrzejszy — butny — wielcy — silni
coraz głębiej wrastamy w zaplecze sezamu
zaklęcia już na pamięć znamy — na wrywki
gotowi recytować aktualny statut

przecież bez nas świat runie — biurka się rozlecą
słońce stanie w pół drogi jak zepsuty zegar
myślom zabraknie iskry i materii rzeczom
oliwa wyschnie — ciemność nastanie zupełna

z każdym rokiem my młodszy — aż przyjdzie godzina
że na biurkach zakwilim jako niemowlaki
i tylko ten niepokój — kto się do nas przyzna
i tylko ta niepewność — kto nas będzie niańczyć

1980

NIESMIERTELNOŚĆ WARUNKOWA

Zacność, uroda, moc, pieniądze, sława
Wszystko to minie jako polna trawa

(Jan Kochanowski)

sława nigdy nie mija — jeśli jest prawdziwy
człowiek z husarskim skrzydłem — jeśli pamięć żywa
jeśli pomnik przy głównej ulicy cmentarza
tak zmyślnie ustawiony że mchem nie porasta
jeśli... tak! po tysiącokroć jeśli jeśli jeśli
aż krew zeschnie i zginie — aż się sława prześni

a dzielność przemilczana czyż znaczy co więcej
niż wzgardzone lenistwo
niż tętent zajęczy?

1980

W ZGODNYM RYTMIE POLONEZA

Przekłeta zazdrość dziwnie się frasuje,
Kiedy u kogo co nad ludzi czuje

(Jan Kochanowski)

cieniem mojego cienia jesteś — smutna pani
karłowi mojej ambicji deptasz po piętach
gdy na skroniach sąsiada rozkwitają laury
a na moich siwizna jeno się rozplenia

cieniem mojego cienia jesteś — gdy zaglądasz
do portfela sąsiada i jego spiżarni
ślepniesz od potu który wygryza mu oczy
by przejrzeć nagle — kiedy plik banknotów zgarnia

cieniem mojego cienia jesteś — gdy przesięgnąć
chęć kogokolwiek — wtedy kurczysz się i rośniesz
do rozmiarów potwora — prężne drzewa błędą
zanim ponad przeciętność podniosą koronę

karzeł i ty — zła wiedźmo — płasacie radośnie
w zgodnym rytmie oszczerstwa — ambicja i zazdrość
dławiąc się cudzym szczęściem liżą cudze okno
złośliwością złączeni — bezinteresowną

nawet na własny sukces
gotowi się targnąć

1980

GODNOŚĆ

Srogle łańcuchy na swym sercu czuję
(Jan Kochanowski)

serce boli — obrasta łańcuchem intrygi
o której wiem — lecz duma nie pozwala krzyczeć
więc się przez łzy uśmiecham — prostuję i milczę
milczeniem którego jeszcze nie muszę się wstydić

być może — piszę bardzo nieudolne wiersze
być może — kłuje w oczy mundur moich marzeń
być może — chcecie żebym napluł nań — bym zdradzał
ale tego nie zrobię — bo jestem człowiekiem

kórego żaden pajak siecią mdłej pogardy
nie omota — nie złamie — nie odmieni twarzy
według cynicznej mody — według rytmu zdarzeń

i tego przekonania nikt mi nie odbierze
dopóki jeszcze nie jest ogrodzona przestrzeń
dopóki jeszcze polskim oddycham powietrzem
i polskie słowo słyszę — na polskim urzędzie

1980

JA — ORGANIZM ZBIOROWY

Łacno cieszyć chorego, gdysmy zdrowi sami

(Jan Kochanowski)

tak gorliwie ogłaszasz że stoję na głowie
a może to złudzenie — może to nieprawda
stoję prosto — jak człowiek na progu wszechświata
taki sobie — zwyczajny — dotykalny — człowiek
dbający o pozory — dbający o zdrowie
nogami o brzeg próżni kosmicznej oparty
gorący melon Ziemi podpieram rękami
by nie spadł z mojej głowy i snów nie roztrzaskał
moich snów — w mojej głowie wyhodowanych
na moją odpowiedzialność

o — jakże łatwo — jakże to łatwo
ogłaszać alarm
kiedyśmy już ukryci
pochowani

1980

KWESTIA INTERPRETACJI — KWESTIA CZASU

Ślachtetne zdrowie, nikt się nie dowie,
Jako smakujesz, aż się zepsujesz

(Jan Kochanowski)

tak — to prawda — plakałem i mówiłem: życie
jest bezpańską przestrzenią z bardzo twardym dnem
tak — to prawda — zębami zgrzytałem w ukryciu
wierząc że po złej nocy będzie dobry dzień

ot — taki stereotyp — ot taki konwenans
taki chwast poetycki — wyświechtany banał
wstyd przyznać — ale jest on — tkwi gdzieś tam
w podziemiach
moich słów — ten transparent — niemodna już wiara
w doskonałość natury — ludzkiej też — w istnienie

zanim lzy wyschły we mnie — noc stała się światem
światem niedostrzegalnym — ciemniejszym niż noc
chciałem krzyknąć — zadrzałem — i wtedy umilkłem
na zawsze — transparenty wyrzuciłem w ką

mówię: jest coraz lepiej w nas — coraz prawdziwiej
ale uciekam w szyku — oglądam z ukrycia
moich słów twarde echo — bezpiecznie podziwiam
podwójne dokumenty w zanadru chowając

a potem
w najciemniejszym pokoju
zaryglowany na cztery spusty
przed dzwonem wiatrów z każdej strony świata
pytam siebie najcichszym szeptem:
tchórzostwo jest to czy dojrzałość?

ECH WINO BUNTU WINO SŁÓW

Przywileje powieśmy na kołku,
A ty wedła pana sładź, pacholku!

(Jan Kochanowski)

obnażasz się przede mną — winnico nabrzmiała
dzwonie moich przeznaczeń — pulsujący w żyłach
misternie wybudajęj świeżej winorośli
spieczonej jak nienawiść — zielonej jak przyjaźń

więc wchodzę w ciebie — oazo wilgotna
góro zgłodniałych pragnień — niewidzialne berło
tętniąca perlistą siecią studnio wrażliwości
z której uciec nie sposób — gdy się raz zabrnęło

kiedy już wejde w ciebie — jestem tak spokojny
jakbym się z tobą nigdy przenigdy nie kłócił
ten dziwny spokój ogarnia mnie wtedy
i jestem dziwnym światłem zewsząd ogarnięty
winny niewinny pielgrzym — podobny do ludzi

ech — rozbierzmy się z masek aż do nagiej prawdy
rozwieśmy je na kołkach niechaj pot wysycha
(czy kołki są zębami dumnej palisady
która w codziennych sprzeczkach nas rozdziela? pytami)

czerwone wino buntu — reumatyzm woli
bezsennej woli którą woń moszczu podnieca
i winą jest to wino — rozmazaną winą
gdy tak leżymy milcząc na stwardniałych plecach
ja jestem znów chłopakiem — a ty znów dziewczyną

nie — już nic nie chcę wiedzieć — tylko maskę powieś
na kołku zapomnienia powieś jak stary kapelusz
zgorzkniałym przywilejem jest ta słodka maska
tak! tak! popatrz już na mnie — czyż można zapomnieć
o zapachu winnicy który nas otacza?

gdy z winnych snów się budzę zziębnięty nad ranem
przytulam się do ciebie — winnico nabrzmiała
jestem znów twym pacholkiem a ty moim panem
i niech tak będzie — miła — poprzez wieczność całą
aż do słonecznych źródeł dojrzałej radości
niech nas rozgrzewa wino — niechaj nas **jednoczy**
tak — jak stało się teraz wewnątrz winnej nocy
winnej winem — nie winą — niech tak będzie — proszę

ech wino wino wino wino wino wino
nie od święta **nas** **wzruszaj**
sumienia rozpalaj
bądź na co dzień

1980

TOAST

A nam wina przynościę,
Z wina dobra myśl roście
(Jan Kochanowski)

no cóż — dewaluacja — pojęć — słów — i czynów
miłość z łóżkiem a z brudną bramą tanie wino
kojarzyć każą — stygnie słońce i zmienia się klimat
moralny — lecz wrażliwość jeszcze nie uwiera
ból głowy — krwi skurczem na gestów zakrętach
skrytym wstydem — pragnieniem — pragnieniem —
pragnieniem
ech — co było to było — nalejcie tokaju
który umysł rozjaśnia i gorączkę studzi
pogadajmy — bracia — pogadajmy
jak ludzie

1980

MIĘDZY

Ciężko, kto nie miłuje, ciężko, kto miłuje

(Jan Kochanowski)

miłować i być zdradzonym — cóż to za nadzieja
na lepsze jutro — na prawdę — na wolność — na sytość
nie miłować — i nie mieć żadnego złudzenia
cóż to za marsz w ciemnościach — ciężki marsz donikąd

o! mądry mistrzu Janie — Polaku prawdziwy
wróć — i napełń nas wreszcie proroczą muzyką

1980

OSTATNIA DESKA RATUNKU

Ciebie na pomoc wzywam, ciebie, o Miłości,
Która spornych żywiołów gniew spinasz łańcuchem

(Jan Kochanowski)

już zużyta jak srebro luster pociemniałych
od gniewu i gorączki — od cierpliwej wiary
w lepsze jutro — w to wszystko co skarłowaciało
nad miską

już ochrypla od szeptów próżnej namiętności
od zimnych pocałunków — pieśczęt jednostronnych
od pokłonów przed tymi których trzeba prosić
tak nisko

nie dopita jak szklanka herbaty gorącej
na dworcu — kiedy gwizdże już na ciebie pociąg
jak na psa — a ty skaczesz ale wciąż za wolno
za blisko

jeśli jesteś miłością naszą narodową
cieplem rodzinnym — żywicą — napełnij nas znowu
napełnij zaufaniem — napełnij nas troską
o wszystko

1980

DRUGA TWARZ HEROSA

ARTY 1

Wzrost: 170 cm, waga: 70 kg

Wiek: 35 lat

Praca: inżynier

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

ARTY 2

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

Wzrost: 170 cm

SEN I

strach ma kolor błękitny
jest płotem przestrzeni
wydostaje się z wnętrza ugorów
z płuc ziemi

zarośnięty chwastami
z beczynnej zadumy
tryska w zwolnionym tempie
złowieszczo faluje
jątry rany i pożar gorączki podsyca

przecierasz krwiste oczy
na baczność patrzące
a tu zatruty strumyk twojej świadomości
gorzka woda ucieka
występuje z brzegów
i pada na kolana przed miedzianym czołem

znów ten błękit i przestrzeń nie objęta strachem
krok marszowy topnieje
rytm dudni łagodniej
tyje okrągłe słowo
i zastyga w pomnik

SEN II

ostrożne jest naczynie o miedzianych ścianach
może to nie naczynie a miedzianoczoły
Heros — ta pusta przestrzeń która nas otacza

która zaciska zęby jak bramę za nami
kiedy wreszcie dobrniemy na szczęśliwe wyspy
by toczyć monologi pozbawione echa

echo wyszło natychmiast w blasku wrzącej miedzi
w oparach najjaśniejszych promieni Herosa
który krąży nad głową jak sęp nad rannymi
albo raczej jak ślepy okrutny cień sępa
bo jest on i go nie ma — któż to może wiedzieć
czy można z cienia lęku istnienie rozpoznać?

zostaje po nim tylko nieruchomy błękit
w nim płochliwa nieważkość — pocisk twego oka
oko zawraca z drogi wiodącej donikąd
i znów pławisz się w morzu ciężkiego powietrza
rybo wysokich lotów
milczący zającu

SEN III

na razie nic się nie skrzy
nawet w ciemni oka
nawet w superpoufnym zakątku źrenicy
tylko kwili tęsknota
do szczerej radości

radość —
jaśność niewinna
produkt naturalny
zakwita w dni słoneczne
bez skaz i fosfatów

radość —
sielska zabawa
marzenia do syta

SEN IV

patrzcie ludzie! — jak łatwo
jakbym klocki składał
rozsypuję w kosmosie roje globusików
nowiutkich kul ziemskich
świeżych
jeszcze nie sprzedanych
okrągłych światów obklejonych moimi wierszami
mnożę nowe istnienia ponad wszelką miarę
rozkazując im krążyć po nowych orbitach
ja
twórca nieśmiertelny
ni młody ni stary
czule surowym kłapsem nadaję im szybkość
wirują precyzyjnie zgodne automaty
strzepują z nich pył kosmiczny
w karkołomnym locie
wydzieram serpentyny barwnych niespodzianek
i zaplatam w symfonie uporczywych haseł
„plemnik — człowiek — próchnica
znów plemnik — znów człowiek”
swoją bukię delikatnych liści
pieśń wrażliwą

SEN V

księżyc
zśniał na plecach wilezych namiętności
brodząc
boso po śniegu najtrwalszych obietnic

księżyc
zimne zwierciadło moich dobrych chęci

zatopione
w jeziorze rozpalonej miedzi

o! wiem już
skąd pochodzisz
mój miedzianoczoły...

SEN VI

a ja
z głębi jeziora tryskam nagle w górę
spazmem dzikiej rozkoszy
konwulsją gorącą
aż podświetlone plectwo pierzcha przerażone
pierzę topi się
spada
jak rozbita gwiazda
hosanna na wysokościach
śpiewam alleluja!

ale wiem jednocześnie
dobrze wiem
że w środku
tych zachwyłów kosmicznych
wewnątrz tej hosanny
jest lenistwo — mgła — marazm
i nie się nie dzieje
oprócz snu dziękczynnego
który trwa latami
nim naoliwi wszystkie szwy owej podszewki
będącej drugą stroną medalu radości
zanim słów wazeliną nie namaści stacji
na dnie drogi krzyżowej wielkiego żywota
zapatrzony usłużnie w uprzejmych oprawców

w balet światła
na skórze przenajświętszej kropli
to nie jest brylant świeżej rosy
to iza potu

SEN VII

o! wstrzemięźliwy zapachu róż kamieniejących
na wierzchołku wszechzmarzlin
ponad naszym czasem

o! rytmie mego serca
zaprogramowany
przez urząd do spraw rytmów
na tysiące lat
w skali jednej ćwierćnuty

a to i tak wiele
znam rytmy w skali paury
też na całe życie

oto snu metafora —
rytm
milczenie skryte

SEN VIII

stoję zupełnie z boku
schowany w kołnierzu
a jednak krok powstaje
choć bez mojej wiedzy

bez mojej akceptacji
ale nogi idą
idą naprzód!
drży beton
język coraz bliżej

z przeciwka stąpa Heros
poufnie się skrada
w miękkich bamboszach zgody na moją porażkę

bliższy czoło miedziane
łśni pot na kompasie

SEN IX

zmierzech obrasta lotnisko
dzień się mija z nocą
w bezpiecznej odległości
warcząc ostrzegawczo

pośród nich stoję
krwią obwarowany
pulsującą radością w labiryncie tkanek
w płataninie komórek
wynajętych stale

w moment późnego mroku
wkrada się mgła ciszy
gromadzi się ostrożnie bielą tłustej waty
wokół mitycznej pięty słów najodważniejszych
pajęczyną oplata
i gęstnieje w węzeł
śmiertelnych oczekiwań
miedź już łśni w krwiobiegu

SEN X

sen nosi drogą szatę z tkanego błękitu
i wszystko w tym ogrodzie kapie od przepychu
jabłko ma zapach słońca i smak zorzy rannej
omszałe brylancikami roziskrzzonej rosy

nawet żal ma swój posmak zaprawiony zmierzchem
nawet śmierć pachnie — żółcią nienazwanych lęków
gdy kapie kropla po kropli lub jak czarny termit
draży głuche tunele poszukując serca
co nie znaczy że serdeczni żyją przez to krócej

tylko woda nic nie ma
któż by się z nią liczył
ubóstwo jest wartością nie z bankowej giełdy
nie ma smaku — zapachu — twarzy i kolorów
jest bezbarwna jak woda i jak woda biedna
pochłaniana przez kwiaty — owoc — krew i miłość
nie widać jej
nie słychać
jakby nie było nic
co jeszcze przed chwilą
jako napój życia
szemrało nieporadnie we świata jelitach

tylko w półmroku kłótni na chwilę ożywa
jej tajemnicza nicłość
potęgą ukryta
gdy mówisz:
„w łyżce wody można mnie utopić
chcą tego przyjaciele
o miedzianych czołach”

SEN XI

niech będzie zatem łyżka przejrzystym naczyniem
które kształt wodzie nada nim ta zeń wycieknie
nim spłynie w zeszcie wargi spękanych wąwozów
w spragnione miedze kurzu rozdrapanych pól
nim nasączy spienione usta sennej ziemi
pograżonej w letargu wiecznego rodzenia

krwew dociekliwej wody najpierw naoliwia
skrzypiące członki ziemi
a potem rozjątrza
stany zapalne wrzodów ciągłej bezsenności
wobec blasku i grzmotu rozjuszzonej wody

o tak!
ta woda szybko urosła w wodospad
i pęczniąc w mniemaniu o własnej wielkości
żłobi gryzie rozbija
żądając pokłonów
należnych księżom królom cesarzom i
bogom

SEN XII

pierzchają na wsze strony przerażone twarze
woda dudni
już nie jest tylko czystym dźwiękiem
chce słyseć samą siebie
ot — z próżnej miłości
do własnych skrzydeł piany
zawisłych nad światem

ponadto chce mieć oko
własny narząd wzroku

by było lustrem oka które nań się gapi
pochylone nad stawem sadzawką czy morzem
nad rzeką rozchełstaną
nad otwartą dłonią
lzy wyciska kadzidło słów
smrodliwa zgorzel

ot — zwykła konfrontacja
potężnych żywiołów

SEN XIII

woda kipi
cwałuje
aż wreszcie przycicha
gdy na bezbarwnej powierzchni pozbawionej twarzy
poczuje maskę luster
wspartą kantem łyżki

oto woda już twarz ma
błyszczące odbicie
zamknięte w łódce łyżki
rozdętej jak balon

teraz może nareszcie zwolnić tempo biegu
gdy jest już
— jako taka —
wszechstronnym obliczem
na powierzchni zupełnie obłąkanych rytmów
na grzbietach złych metafor
na krawędzi lodzi
już jest
ogromną treścią w maleńkim naczyniu

SEN XIV

zabrnąłem w sny głęboko
aż po snu rękojeść
i nie wiem już co faktem jest
a co marzeniem
ale to przecież mało ważne
kiedy człowiek
idzie najprostszą drogą
uparcie
przed siebie
nie zbacząc z kierunku
choćby skwar i błoto
choćby bagno
przepaście
smoła pod nogami

znowu widzę tę łyżkę
naczynie przejrzyste
formę treści żywota
który wiecznie płynie
i po drodze kilka razy umiera
i znowu
cieknie między palcami
zaciśniętej dłoni

SEN XV

jeszcze nie wnिकam w kwestię kto łyżkę porusza
bo przecież sama w sobie jest sztywnym naczyniem
może woda zwyczajnie — tak po prostu
kipi
uciekając czym prędzej z puchnącego wnętrza

z lwiej paszczy drapieżnego kwiatu
który
kwitnie do wewnątrz
do ścian lustrzanych
zapatrzonych w siebie
uwielbieniem tak wielkim jak wielki egoizm
gotów sam siebie pożreć
wchłonąć własną światłość
by wodzie udowodnić wspaniałość agresji
aby wiatrom pokazać że jeszcze potrzebny
jest
choć wyciekły zeń wszelkie treści
choć błądzi na oślep
on
ponura światłość
choć krzyku wydobyć z głuchych ust nie może
pod ciśnieniem przedmiotów
martwych znacznie wcześniej

SEN XVI

a jednak
coś w tej łyżce świeżego się żarzy
ta rana
wypalona przez stempel ogniska
ścigana przez swą próżnię
wokół pustego stołu
aż ją północ wypełni
samogonem marzeń
eterem lotnych pragnień
ginących nad ogniem
to mgła nadzwyczaj jasna
przejrzysta jak światło

okreca kokon łyżki słów radosną wata
rozmytą w szlochu światel
rozpędzonych wokół

SEN XVII

a przecież
sama w sobie jest sztywnym naczyniem
pałacem złotym
pustym aż do obrzydzenia
łyżka — forma — forma! — forma!!
naczynie skostniałe
wszechwładny imperator
w diamentowych szatach
przyrośnięty do tronu
unieruchomiony
własną pychą
ciężarem dumy nasyconej
bogactwem słodkich rymów
katarynką rytmu

a u stóp tronu
który ocieka platyną
pełza moja poezja
w podartej pokorze

SEN XVIII

tymczasem
gładki ząb pomnika psuje się od wewnątrz
próchnica milczkiem toczy niezłomną materię
która
nim zdąży przybrać właściwą powłokę

już krzepnie
już twardnieje w kamienny zagajnik
tropów znieruchomiałych już w połowie ścieżki
prowadzącej do wielkich znaków zapytania
wygiętych śmiałym łukiem najtwardszej grabiny

obok wyniosły neon zakopcony ćmami
jak gwiazdeczka przewodnia w ciemnościach bezdroży
albo czerwone światło „stop” na skrzyżowaniu
zdolne powstrzymać stado zbaraniałych godzin
które płyną bezmyślnie jako i czas płynie
podmywając cokoły dostojnych opinii
stałe w jednym kierunku
od źródła do ujścia
z góry na dół
i próżno by ten wektor zmieniać
nie biorąc pod uwagę widma samozagłady
trudno
przynajmniej będzie trwałe punkt odniesienia

SEN XIX

szkoda marnować czas swój na mdłe wizje czasu
a więc przeźnijmy teraz sen busoli statku

bezbarwna róża wiatrów
ledwie wyrzeźbiona
jeszcze pachnie lakierem zewnętrznej świeżości
a już gnije od środka
już zgrzyta zmarszczkami
skrzypi próchnem sędziwym
które się rozpada
z szybkością kilku wieków
w przeciągu sekundy

SEN XX

tak
treść wycieka z formy w najgorętszej chwili
gdy tuż tuż ma zastygnąć wierna mapa twarzy
w biegu zmienia się
kryje
gnie ruletkę losu
w drugą stronę odkręca koryto wydarzeń
ukradkiem w bok się czołga nieforemną plamą
coraz bardziej bezkształtną
mglistą
niewidzialną
śpiącą już
i już śniącą sen oczekiwany
który się przeobraża szyderczym uśmiechem
i nie ma w nim miłości
ni pieśczoł zalotnych
ni dłoni odgrzewanych ciepłotą podbrzusza

SEN XXI

sen boli
piecze
krwawi
kłuje okrucieństwem
na żywo
bez mdłych driakwi
bez mikstur kojących
dławi zranioną szyję pokątnej radości
podpala ciemną ścianę spazmów
już głaszcze tępych młotów ogłuchłą udreką

biega swawolny chłopczyk
pośród świeżych ruin
które
zbyt wolno walą się
w opasie błoto

kopie kruchym bucikiem
w senne fundamenty
ale bagno ssie stopy
wciąga coraz głębiej
skleja ruchów młodzieńczość

miota więc pragnienia
zakłęcia recytuje
aby podwaliny
zapadły się gwałtownie
razem z tłustym bagnem
wyzwalając mu nogi do swobodnych lotów
w wolnej przestrzeni
pośród trzaskających murów
niechby nawet lodowych zamków
które przecież
i tak odwilż rozwali
bez zbędnych zabiegów

tak czy owak — drżą ściany
ciarki je już mrowią
ciężar pęka na oślepek
kształt pusty wypływa
na wierzch ciszy
ciemnieje
miesza się z oddechem
powietrza skłębionego
w zakamarkach dymu

no więc naczynie wodę kształtuje
a przez to
samo też się przemienia
odkształca
ulega
drzeniu tłumionej wody
rozmytym zarysom

a ja to widzę we śnie
to sen w dalszym ciągu
i pot spływa po oczach
drży między zębami

chcę coś
pragnę
wiem
nie wiem
chyba o to chodzi
by owa sztywna forma
najtwardsza bezczelność
łyżeczki pobielanej najpodlejszym kruszcem
umknęła gdzieś
rozprysła
choć na cienką chwilę
na ułamek godziny tępego żywota
znikła w mgnieniu słabości
przecież nie codziennej
w samounicestwienia chmurę brnąc odważnie
katapultą odwagi mknąc oby najdalej
aż po jarmark burzliwych wichrów
wir przestworzy
gdzie jest jeden kierunek
powrotny
dla wszego

stworzenia i zmyślenia
dla wszelkiej idei
jedna droga
powrotna
do najpierwszych źródeł
do snów w korycie płodu
w ciepłej skrytce brzucha
aż po teatr małżeńskich rozmów
już po ślubie
aż po myśl
owe źródło każdego istnienia

SEN XXIV

wciąż chodzi chyba o to
by najtwardsza forma
żeliwny odlew łyżki rozkruszył się w próżni
zanim woda spieniona nęcącym zamiarem
upomni się o spokój z dawna obiecany
przez sztywną formę łyżki
w zaciszu naczynia

niewinne gwiazdy nocy wstydem się rumienią
ciemnieje w mgle kosmicznej ich bezcenny uśmiech
i zawraca w pół drogi strzelistych oddechów

gdy w powolnej zadumie śnię nad zejściem formy
stłoczone egzystencje zawracają z drogi
aby się potknąć wreszcie o dzikie ognisko
kształtów
powłok
szablonów
kiedyś porzuconych
na coraz szybszej drodze cieknącej do ujścia

SEN XXV

tak się spala krój — fason drgającej materii
na stosie własnej skóry
wyrzuconej niegdyś

tak też i ja się zwęglam
oczy — uszy — usta
na pniu zgubionej głowni
w cieniu słów misternych
widzę to w sennej jawie
w całkiem jawnym śnie
skwierczy skwarka języka
zgiętego pokornie

najgorętsze płomienie to moje dwie ręce
którymi ściskam głowę
gnę samego siebie
dławię pieśni zachwytu
i smutku elegie
a w zębach chrypi sadza
ten zakalec ziemi

wokół jasne orkiestry balsamują serce
ciepłym drzeniem powietrza o zapachu róży
wędrującej dokoła łąki świeżych marzeń
z transparentem piękności jak pachnącym żaglem

SEN XXVI

a tęcza wciąż szarzeje
nurzając się w błocie
w tłustych grudach zarodni
w grudach czarnoziemiu
kolor ginie

lecz rośnie kształt ruch smak i zapach
w zasięgu szarej ręki
zwykłej aż do bólu
mięśni
w mokrym pośpiechu co dnia pochylonych

rzednie zorza piękności
gdy rzednie powietrze
mego snu o pragnieniach

rzednie twarz miłości
która tęczę gromadzi i składa z okruchów
nadając im przylepność wzruszonych magnesów

SEN XXVII

o! jedwabista mowa estetycznej tęczy
dumna barwnym przepychem subtelnym odcieni
od jaskrawych okrzyków żółci aż po smołę
niemych odcieni klepiska wdeptanego w ziemię

ty rodzisz warg mdłe drżenie
miłosną niepewność
wygladzasz swoją zazdrość —
gruchanie gołębi
nakrytych zdobną siatką
jak wspaniałą zbroją
tak jednak ciężką pięknem
że frunąc nie sposób
im nawet pod ostrzałem batów
snutych z piasku

SEN XXVIII

o tak! misterna mowo
jesteś tęczą słówek
sztucznym zapachem farby
którą dziś maluję
miłość do swoich wrogów
na słupach ogłoszeń

o tak! przepiękne słowa
grzeźnięcie w mym gardle
jak wczorajsza gazeta w tak zapchanym zsypie
że nawet szcur sloganu się nie przedostanie
na dzienne światło oczu
wierzących we wszystko

to już nie zsy
to studnia o średnicy pala
który ciasno opada na najniższy poziom
niszczy makijaż kręgów
podszewkę obdziera
mlaska głucho o piasek
wysuszony na dnie
ślepowych referatów
z których wyschła woda
i dno zastygło
w nagim uśmiechu śmietnika
w skurczu zgasłych świecideł
uległych bez walki
w grymasie słów zeschniętych
na dnie pustej studni

SEN XXIX

tamten ból się powtarza
jak błysk epilepsji

w sekundzie zniechęcenia
w ciężarnym milczeniu
wiednie tęcza słów pięknych
doskonałość formy
a milczenie
nabrzmiwa ryb kalejdoskopem

morszczuk dorsz karp płastuga
flądra lin i brzana
sum szczupak węgorz amur
pstrąg i milion szprotek
przemykają bezgłośnie
po bezpiecznych kręgach
szlaków już wydreptanych
sprawdzanych ostrożnie
w śmiertelnych rundach
wokół nieśmiertelnej sceny
stadionu bez sędziego i regulaminu

iskry łusek się łączą w ognistą orbitę
piekielny krąg milczenia
hermetycznie szczelny
okrążają boisko jak gwiazdki milczące
i trudno się wydobyć
z tego okrążenia

SEN XXX

i zanim się przebudzę jeszcze w śniegu tonę
w milczeniu zimnym białym jak śmiertelny oddech
a na środku ekranu trzepot wróblích skrzydeł
ustaje
i za chwilę jest letargiem głodu

początkiem ptasich ćwierkań
ideą fruwaną
sowa staje się dziupłą
skowronek przedświtem
a słowik bzu gałązką
jaskółka żdźbłem gliny
motyl kurczy się w kokon
ryba w ikrze wraca
wszystkie byty żyjące zawracają z bieżni
jak po głuchym falstarcie
jeszcze raz uklęknąć
w dołkach które nawzajem pod sobą wykopią

i ja siebie też widzę
jak wracam do źródeł
dzieciństwa
jeszcze dalej —
do pierwszego krzyku
aż do ciemnicy brzucha —
do spazmu plemników
roztączonych szaleńczo w milczącej ekstazie

potem jeszcze cień widzę —
on także powraca
a potem
jeszcze słyszę echo mego cienia
ale i ono wraca do praźródła źródeł
do dziewiczej przestrzeni ciemnego milczenia

SEN XXXI

do drzwi snów moich puka agent obłąkania
„wyjdź głupsze z tej jaskini —
jutro jest wesele

sąsiadki z którą kiedyś
oddychałeś razem
radością pocałunków
rozkosz czułeś w łądzwiach
nad jeziorem
gdzie trawy pachną i wzdychają
a powietrze wolnością jest
nieokiełznana”
do drzwi snów moich puka agent obłąkania
a ja milczę —
nie mówię nic co mógłby użyć
przeciwko tej wolności
skrycie wykorzystać
jak słowną deklarację
slogan bez pokrycia

SEN XXXII

wschodzi tęcza
omszała miedzianym kolorem
skąd ją znam?
tak! to przecież Heros miedzianoczoly
raczej cień jego tępy
rozlany nad nami
jak złośliwa poświata uśmiechów
sklamanych
przed moimi słowami
a za moimi plecami

a gdzie on jest — ten Heros?
kędy jego stołek?
Heros spróchniał już dawno
ale cień pozostał
jak dym po czarownicy

spalanej na stosie
gryzie w oczy
wyciska łyżę
jak przed wiekami
choć karków już nie zgina
przed gołąną głową

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

GRA SŁÓW

czołem — błazny o miedzianych czołach
cześć — czcigodni o twarzach bez czi
na śmietniku historii wasze słowa
obrastają w godzin mysi pisk

jeszcze czuję zapach spalenizny
zbyt wysoko skrzydła was uniosły
zostaniecie tak — twarzą do ojczyzny
a tyłem — do Polski

KIERUNKI MARSZU

cóż was obchodzę — lewą idąc stroną
a przecież tylko mijam — nie wyprzedzam
za mną — pustynia — i mosty już płoną
przede mną — przez was wydeptana przepaść

idziemy obok — jedną stroną drogi
lecz — kto z nas tyłem idzie — a kto przodem
patrzę — nie widzę — słychać tylko skowyt
twarzy ukrytych w strusich chmurach sadzy

NAJŁATWIEJ NAJTRUDNIEJ

najłatwiej mówić milczeć najtrudniej
najtrudniej mówić milczeć najłatwiej
dudnią słowa w wyschniętej studni
między ciemnością a światłem

najtrudniej wierzyć słowom na baczność stojąc
przed wami przyjaciele — gdy mówicie
że białe jest czarne

najłatwiej się roześmiać gdy ktoś po drabinie
wspina się i
spadnie

najtrudniej odgadnąć co rośnie
a co gnije
na dnie waszego uśmiechu

MIASTO ODRODZONE

w tym mieście głogi kwitną barwą wrzącej miedzi
chłopak całuje dziewczynę na kamieniu omszałym
na którym ostrzył miecz swój wódz plemienia Dziadoszan
nim poległ — grodu broniąc przed cesarską nawałą

w tym mieście głogi kwitną barwą wrzącej miedzi
malcy bawią się w wojnę — rozdzwania się bitwa
na placu — gdzie przed laty w obozie przejściowym
germański zbir kazał polskim dzieciom wołać „heil Hitler!”

w tym mieście głogi kwitną barwą wrzącej miedzi
kobieta trzydziestoletnia nie pamięta gruzów
kiedy — z dzieckiem na ręku — kupuje mleko

w śródmieściu
w śródmieściu którego nie było a jest — jak feniks —
znowu

w Głogowie głogi kwitną barwą wrzącej miedzi
na zamku drzemią czujnie muzealni królowie
ziemi piastowskiej broniąc — która była i będzie
mlekiem i miodem płynąca
biało-czerwona

DWUGŁOS

I

Norymberga

síódmego lutego tysiáć dziewięćset czterdziestego szóstego roku

generał major policji niemieckiej Ernest Rhode

zausznik Himmlera

wstaje z miejsca i skłania się milcząco

wysoki — szczupły — w zielonkawym mundurze

bez dystynkcji

o gładko wygolonej twarzy

i gładkim sumieniu

typ pruskiego oficera ale

już bez pruskiej buty i

hitlerowskiej pewności siebie

z gotowością podnosi prawą rękę

że będzie zeznawał prawdę

i tylko prawdę

chwila jest uroczysta

kiedy był pan w Polsce pyta prokurator Sawicki

hitlerowski generał ociąga się z odpowiedzią

oczy jego niespokojnie biegają po obecnych

jakby już w samym wyrazie Polska

czaiło się niebezpieczeństwo

wreszcie stwierdza

że był w Polsce we wrześniu

tysiáć dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku

w Bydgoszczy

na pytanie co wie o represjach
jakich ofiarą padła ludność polska w Bydgoszczy
Rhode zaprzecza
on o niczym nie wiedział
on niczego nie widział
on
z represjami nic wspólnego nie miał
a jedynie
— jak stwierdza z godnością —
nadzór nad niezdyscyplinowaną ludnością polską
przy pomocy policji granatowej
organizował

.....
generał major policji niemieckiej Ernest Rhode
wznosi oczy ku niebu
Gott mit uns
alles in Ordnung

II

ja
Władysław Kubala
Polak z dziada pradziada
oświadczam że jestem
oświadczam że jestem
jednym z tysiąca pięciuset
rozstrzelanych na Starym Rynku
dziesiątego września tysiąc dziewięćset trzydziestego
dziewiątego
oświadczam zbrodniarzowi o nazwisku Rhode
że przeżyłem krwawą niedzielę w Bydgoszczy
widziałem — słyszałem — pamiętam
ocalony z dna rozstrzeliwanych
oświadczam że żyję
oświadczam że żyję
z jednym płucem i bez lewej nogi

żyję i dumny jestem
że tydzień przed krwawą niedzielą
niemieckich dywersantów
my
nie wpuściłim do polskiej Bydgoszczy
oświadczam że żyję i jest mi dobrze
a tamta niedziela piękna była
kwitło wielkie czerwone słońce
jeszcze do dziś
tamtych plam nie mogę odmyć
jeszcze do dziś
mam w ustach słodki zapach krwi
.
człowiek — tak tak — człowiek
człowiek to brzmi dumnie
nawet wtedy
gdy nie umiera
a zdycha
tak — tamtej niedzieli pięknie było
tak pięknie
że zapach słońca było słycać
.
oświadczam ponadto
zbrodniarzowi nazwiskiem Rhode
że memu bratu
Wiesławowi Kubali
Niemcy
pięcioćalowym gwoździem
język do stołu przybili
by — jak to dowcipnie powiedzieli —
utrwalić jego związek z Bydgoszczą
gdy
zbudzony brutalnie w nocy
nie chciał opuścić miasta
na przesiedleńczej ciężarówce
wywożącej Polaków donikąd

oświadczam
że dwudziestego pierwszego lutego tysiąc dziewięćset
czterdziestego pierwszego roku

w trzeci dzień wysiedleń
a raczej w trzecią noc
w ciągu siedmiu minut
opuściłem swoje mieszkanie razem
z całą rodziną
razem z obłożnie chorym dziadkiem Walentym
zdążyliśmy się tylko ubrać
wszystko w mieszkaniu zostało
a następnie
zgrupowano nas
w szkole przy Świętojańskiej
skąd
wywieziono kolejną do Nakła
a z Nakła pędzono pieszo
dziewięć kilometrów
do zamku w Potulicach
(dziadek upadł po drodze i został
kopnięty podkutym buciorom)
w zamku trzy dni nas trzymano
bez pożywienia i wody
twierdząc że każdy powinien
żywność ze sobą zabrać
potem nas ograbiono
ze wszelkich kosztowności
zdarto co nowsze futra
i sortowano na grupy
młodzież wysłano do Niemiec
a starszych i małe dzieci
wysłano do guberni
.....
ja
Władysław Kubala
Polak z dziada pradziada

oświadczam temu zbrodniarzowi
że jednak żyję
a on...
oświadczam zatem że żyję
i mieszkam nadal w Bydgoszczy
na Przędowników Pracy
a słońce
zagląda w moje okna
przez cały rok

EPILOG

„do chwili obecnej, tzn. do sierpnia 1979 roku, ukarano
tylko pięć procent zbrodniarzy hitlerowskich”
(fragment wypowiedzi uczestnika kampanii wrześniowej,
podczas telewizyjnej dyskusji historycznej)

DOBRCZE

a wszystkim mówię że się dobrze
że dobrze mam się bardzo dobrze
no bo i po co by to było
przeżuwać żuwać żuć raz jeszcze

korzyłem przecież się milczeniem
słowa banalne są i puste
obtarłem z nich spieczone usta
rzuciłem na jesienną ziemię

może wypełni się ofiara
słów
zamienionych w uścisk dłoni

JESZCZE JEDNO BZDURNE ZABÓJSTWO
SAMEGO SIEBIE

nam w dużych miastach żyło się łagodnie
za wielką nieprzebytą górą czcigodnej wygody
a ciebie nie stać było na akompaniament
na oklaski w tonacji różowej i zgodnej
na zajęcze milczenie — ni na krok marszowy

powiesiłeś się — bracie — po zachodzie zmysłów
kiedy stwardniała mgła między tobą a nami
i opustoszał sen

stało się
i nikt tego nie zauważył
nikt
oprócz mnie

GLOSSA

bufon to wszystko widzi i wszystko rozumie
lecz kiedy ze snu wstaje znów uśmiech ustawia
według nut zatwierdzonych najwyższą pieczęcią
strachu nienazwanego
który raz jest modą
raz próżnością brodatych snobizmów —
a czasem
czymś jeszcze
o czym bufon boi się pomyśleć
o czym woli nie wiedzieć zbyt wiele
by złuda nie czmychnęła pośrodku dostojnych
obrzędów
wielce uroczystego nabijania fajki

bufon to wszystko widzi i wszystko rozumie
lecz boi się i spieprza w głębiny uśmiechu
jak szczur z niemodnej łajby która idzie na dno
pod ciężarem cnych zasad
pięknych i szlachetnych
lecz — jakby rzecz można kupieckim językiem
skoro rzecz o bufonach —
przeterminowanych — zdjętych z listy przebojów
wygnanych z dyskotek i dawno nieobecnych
w portfelu tatusia

BASŃIOWY SEN POETY

brama z tęczy stubarwnej — napis OAZA PRAWDY
łany maków falują czerwienią
pośród krwistych plantacji tętni plac udeptany
jak przed bitwą — potyczką tajemną
na klepisku wzniesiony stos makówek ogromnych
jak arbuzy lub dynie armatnie
a przed stołem na klęczkach kilku mężczyzn uciera
mak w donicach gwałtownie spękanych
ni to misy ni garnki jakby czerep rubaszny
pół makówki rozbitej przed każdym
milion sennych ziarenek szumi w pustym czerepie
milion myśli i słów bliskich prawdy
kto w tej dziwnej makutrze wszystkie ziarna tak utrże
że makówki wrzeć będą olejem
ten w nagrodę otrzyma najpiękniejszą maksymę
klucz do skarbcza najskrytszych nadziei
jeden wszakże warunek spełnić trzeba — niech struny
głosów męskich drżą prawdą najszczerszą
prawdę prawdę jedynie prawdę można powiedzieć
w tej oazie ogrodzonej tęczą
twarze mężczyzn już płoną kolorową pochodnią
teraz maski już żaden nie włoży
wieszca cień nad klepiskiem obok radio tranzystor
mak usypia lecz budzi rozmowy
tyle maku! tyle maku! kiedyż zeń pocieknie olej
by nie usnąć — posłuchajcie — starą bajkę wam opowiem
bajka ta — to prawda wielka zwana dzisiaj romantyzmem
komu prawdy nie potrzeba niechaj brodzi przez pustynię
niechaj przez pustynię brodzi kto się prawdy słuchać boi
kto nie patrzy ludziom w oczy

kto przed bóstwem bije czołem
wierście mak i posłuchajcie — żywą bajkę wam opowiem:
„ciemno wszędzie gwarno wszędzie
sto neonów wygaszonych
sto języków przemęczonych
a na cztery świata strony
sto kogutów tłustych pędzi
„sto lat sto lat” piejąc dzielnie
pieśń o kurze co na grzędę
jeszcze wyższą wlatła wreszcie
złoty jaj nie zapomniała
ni gdakania pochwalnego
gładkie strofy kura gdacze
kogut na okrągło pieje
postępują zaś inaczej
tak na co dzień — nie odświeżnie
oto plon współczesnych marzeń:
mądre zwierzę o dwóch twarzach
sto kogutów tłustych pędzi ciemną drogą w polskich fiatach
a za nimi kurze pierze jak dziękczynne uwielbienie
hymnem w puste niebo wlatła
chmurą słów nie wymówionych

.....
sto kogutów tłustych wraca pokorniejac z każdą chwilą
pióra na nich potargane i pazury połamane
już z kurami pobratani idą zgodnie ramię w ramię
cicho snuta pieśń o pracy z każdą chwilą potężnieje
ze wszech świata stron lawina dloni w jedno miejsce spływa
sto kogutów tłustych śpiewa echem wraca słów bumerang
tłuszcz wycieka razem z potem i użyźnia twardą ziemię
z ziemi szklany dom wyrasta o milionach jasných okien
dom drogowskaz wiecznie trwały na rozstajnych rośnię
drogach
ruch wskazując w jedną stronę tak na opak a serdecznie
bo do środka wszystkie ścieżki wszelkie przejścia wydeptane

w samym sercu dróg rozstajnych dom rodzinny co dnia
wstaje
dom trzydziestu trzech milionów — pomnik trudu
zwyczajnego..."

hej! popatrzmy czy w czerepach już mądrości olej kipi
bo maksyma najpiękniejsza nam zostanie objawiona
klucz do skarbcza obiecany...
pokaż bracie Polaku ileś utarł już maku
czy z makowych słów twoich czynów płynie już olej?
bo cóż rośnie z gadania które tylko usypia
lub kuranty wydzwania w zapomnianych kaplicach?

SŁOWO CZYNEM

słowo czynem się stanie
gdy na ziemię upadnie

gdy przemiesza się z piachem
przejdzie ziemi zapachem

gdy zachłyśnie się potem
i uzbroi w pokorę

gdy się milczeć nauczy
już na pomnik nie wróci

zakorzeni się trawą
zakurzona zdeptaną
ale żywą upartą
w radość słońca bogatą
w zieleń snów

DYSKUSJA O ŚWIĘTOŚCI

- świąt u nas w kraju nie ma — nie lubim świętości
dzien się za dniem ociera szorstką szarzyną pośpiechu
a jeśli już niedziela — to tylko by lżę uzbroić
kroplę potu przemienić w kroplę cierpliwości
i smak piolunu uśpić za rodzinnym stołem
obiadem sutym stłumić rwącej krwi gołoledź
język bigosem związać by nie frunął wyżej
niż sufit domu pozwala — drogowskaz we mgle
- świąt u nas w kraju nie ma — to fałszywe słowo
„świętość” brzmi tak nieszczerze jak zgrzyt skarbonki
o czoło
jak brzęk wdowego grosza o tacę kościelną
w pokornym skłonie kolan przed wielkim złudzeniem
szepczą „świętość ach świętość!”
widzę — obojętność
dla świętego spokoju przyznam świętą rację
i tyle ze świętości jeno pozostało
- „święto” to słowo stęchłe — cuchnie czarnym fałszem
który laskocze w pięty tkaniny obłudą
zamiast wielkiego „święta” niechaj będzie „radość”
z czynów wielkich największych
nie „wczoraj” lecz „jutro”
- a pan nie szargaj rzeczy wzniosłych
są jednak u nas święta takie
gdy cichną kontuszowe spory
i Polak wie — że jest Polakiem
gdy maj rozmał się czerwienią
i lipiec lipy słońcem zrosi
albo gdy rzecz listopadowa
albo gdy konkurs szopenowski...

- od wieki wieków są dwa takie święta
kiedy się obżeramy ponad wszelką miarę
kura po jajkach płacze a las po choinkach
zamordowanych skrycie za dwadzieścia złotych
w lasach niczyich — bo rzeczpospolitych
taka świadomość drzemie w niektórych umysłach
przeciętnie patriotycznych — ni głodnych ni sytych
- przeciętność nas pożera jak sarmackie konie
ta nijakość beztroska zakłęta w ognie
bezpieńskiego lenistwa — którym oganiamy
czoła swe przed niemiłej prawdy komarami
płachtą snu zasłaniamy zmęczone zegary
wpatrzeni w telewizor świętujemy jemy
zapasy kolejek owych najświętszych sklepowych
- znam ci ja badylarza co nie czyta gazet
a w świątecznej kolejce przed kioskiem wystaje
kiedy kielbasę wreszcie i wódę zgromadzi
brzuch napełniamy strawą — zaczynamy radzić
jak żyć by nie wadzić — ale i nie kadzić
jak wilki owcą sycić by jej nie połknęły
jak po rękach całować by nie zginać karku
- wiele jest takich pytań w świątecznym jarmarku

PATRIOTYZM

tak — to prawda — artystów
mamy wielkich — ci są w stanie
zbudować gmach pod chmury z pełnym oświetleniem
zadziwić głośnym zrywem ułańskiej fantazji
nie spać — nie jeść — i nie pić — żywiąc się rekordem
a potem — szarą chwilą
wymknąć się w opłatki
podeprzeć budkę z piwem
i — na ławce zasnąć
leżkę uronić nawet gdy Mazurka grają
a po kryjomu — worki z cukrem do dom targać
gdy herbata zgorzknienie jak bolesna prawda
ostro ostrożnie brać się do zwykłej roboty
czołganiem łganiem mijać zakręty historii
kołatać latać wszystko co się kiedyś przyda
kłamać łamać poprzeczkę którą przebrnąć trzeba
klekać lękać się jutra — spać w błotnistych butach
gdy już knuta uknuta filozofia knuta
lakierować kierować słowem tam gdzie trzeba
koczujący czujący kwaśny zapach chleba
uchwalić walić prawdę zawsze między oczy
martwieje wieje zając gdy go wilk zaskoczy
 oto kolekcja lekcja historii kolejna
 słowo stało się ciałem — ożyły marzenia
to nie zgryźliwość bracie ale pełne brzmienie
głosu — który przez lata długi wiązał mi w krtani

HYMN PISANY POD ZIEMIĄ

jak cię czić — mroczna pani — żebyś nie myślała
że ze strachu to czynię (ciemność dookoła)
coraz ciaśniej w tej klatce ciężkiego powietrza
coraz gęściej — drżą nogi — w zębach pył już zgrzyta
mdleją ręce — pot ciecze — zdrowotny sok życia
pulsujący ochronnie w czujnych gestach ciała

grudo czarna — milcząca — brudna soczewko słońca
ciemny okruczu zwierciadła potraskanego przez wieki
jesteś strzępkiem obrazu dawnych czasów — tak starych
że wyobraźnia nie sięga a myśl twardnieje i gaśnie
na zakrętach historii — na stosie kalendarzy
zapomnianych — pożółkłych — w spiekotach — w zgryzotach

grudo czarna — opoko — o! grudo gorąca
jesteś atomem żaru ukrytego w podziemiach
najszlachetniejszym pierwiastkiem — strąconym ze słońca
za karę — w chwilę po tym gdy w błuźnierczym szale
chciałaś świecić potężniej niż słoneczne kolos —
przygarnęła cię ziemia i tak pozostało

„czarne złoto”! — ten pierwszy — który cię tak nazwał
był bezmyślnym poetą — następny: papuga
złoto zimnym jest blaskiem a ty — gwiazdo upadła
grzejesz nas swoim ciepłem i ciepłem ochraniasz
w dobie złej koniunktury w nocy lamp pogasłych
ktoś chciał się ciebie wyrzec — stłumić wieczne światło
lecz zmarzył — nim złoto ujrzał — i taka jest prawda

ja — Konrad Zuzok — górnik — lat dwadzieścia siedem
wchodzę w Ciebie — śmo ślepa — groto nieskończona

ja się wwiercam na amen i nie bądź przeciwna
bogdanko moja nowa — panno nieprzebrana
kochanko wiecznej nocy — lubelska dziewczyno
rozłożysta — rozległa — że objąć nie sposób

poczerniały kamieniu — diamentcie głęboki
nie buntuj mądrej ziemi — niech kurzawkę wstrzyma
i tchnie w głąb suchym latem choć na górze zima
wchodzę w Ciebie z przyjaźnią — wdzieram się zuchwale
otwieram spichrz zamknięty przed lat milionami
czuję zapach pochmurny — widzę twarz paproci

grudo czarna — lzo twarda — ja nie tylko drążę
korytarze w Twym ciele — nie tylko rozrywam
Twoje tkanki nabrzmiąłem ciepłem i energią
ale ucho przykładam do Twojego wnętrza
i nasłuchuję — szukam — bo tu gdzieś — gdzieś słyhać
olbrzymie serce ziemi — otwarte na oścież
ono jest — jest naprawdę — dla tych którzy pragną
ciepła — ziemskiej mądrości co jak zbawczy balsam
rozgrzewa sęki palców i skostniałą wolę
rozpala w wielkie chcenie — w wielki obowiązek
tak — muszę znaleźć źródło — muszę wreszcie dotrzeć
tam — gdzie w autostradę zamienia się bagno

w sercu ziemi bzy kwitną i szumią paprocie
ocalone dla ludzi by uwierzyć mogli
że tu gdzie teraz ziemia — kiedyś lśniło morze
rozpostarte szeroko jak blask metafory
nad światem — zadyszany w pośpiesznym pochodzie
(poeta jest górnikiem okruszyny słowa)

grudo ciepła — gruncie — armio najtwardszych iskier
śpiąca ciemna i skryta w piwnicach Lubelszczyzny
bądź uległa mym dłoniom — posłuszna maszynom
bo jesteś nam potrzebna — polska grudo węgla

bo jesteś nam potrzebna — jak sól i poranek
człowiek tańczy z przyrodą — niechaj trwa ten taniec
niech w każdym polskim domu rozpala ognisko
niech z iskry tryska płomień aż do najdalszych planet
a nawet jeszcze dalej — do najskrytszych marzeń
do baśni — które człowiek zamienia na prawdę

OTO BAJKA NAJPRAWDZIWSZA

bochem chleba z polskiej mąki
w której rąk skrwawiona treść
kaleczonych językami
ostów — skrytych w głębi zboża
oto nasza wspólna świętość
oto sprawa — oto sens
oto bajka najprawdziwsza
oto racja najuczciwsza
oto najdzielniejsza krew

.
ziarnka maku — słowo proste
jak stwardniałe łyż obronne
już stłamszone — już zmiażdżone
już z makówek kapie olej
a na dłoniach białe bąble
nabrzmiwiają mgłą czerwoną

.
czy u wszystkich? nie wiadomo
czasem puchnie tylko język
a chociażby dłoń się zmęczy
i zapłaczą linie życia
wilgotniejąc na żądanie —
czasem prawda tkwi w prawicach
tak obrzękłych od klaskania
jak od pracy ponad siły

ODA DO NASZEJ MŁODOŚCI

na tęczowej bramie napis — szary cień jak popiół skruchy
niewidoczny — rozmazany — wyniszczony zawieruchą
wiatrów złudnej koniunktury — słów wyplutych wraz

z zębami
gdy fałszywym tonem zabrzmia — w chórze innych słów
wyblakłych
gdy nie zgodzą się z tonacją — i wyfrunąć zechcą dalej
pod prąd płynąć grzbietem fali

czasem wiatry nurt zawrócą i wymiotą zgniłe próchno
z dna koryta — stare pniaki wykarczują młodzi drwale
w najjaśniejszy z dni słonecznych ruszy regulacja rzeki
zwana wiecznym przemijaniem

biec pod górę pocznie rzeka nowy już kierunek znacząc
w drogowskazach zapisany

„ulec — czekać — czy uciekać” spyta kret witaając światło
coraz głośniejsz ssące pamięć

patrzcie! oto ta maksyma szara na tęczowej bramie!

napis cichy kurz porasta

kto przeczyta? „praca! praca!”

tylko tyle? tak — nic więcej

czy to mało? bardzo wiele!

razem — młodzi przyjaciele!

ORACJE NASZE

dekoracje oracje racje nasze wzniosłe
święte krowy — jelenie wiecznie odkurzane
stuletnie mowy butne — stokroć nicowane
gdy wiatr gniewu zawieje — pomniki przewraca
co krok to święta racja
co krok to oracja
każdy orłem walecznym a nikt zwykłym osłem
przerwa na papierosa — rozmowa — rozmowa
płyną lata i płyną słowa — słowa — słowa
dziecko tonie w przerebli — ani drgnie tłum gapiów
drgnęły tylko języki — rozgorzały spory
kto ma pierwszy krok zrobić
kto zdrowy
kto chory
„hej ratować ratować!” — szemrzą zgodnym chórem
stojąc z bronią u nogi — przedmurzem i murem

ODWAGI WAGI NASZEJ JĘZYCZEK SPUSTOWY

odważni ważni jesteśmy wieczorem
czując językiem salcesonu siłę
gdy do kolacji zasiadamy społem
w piżamie tuląc spracowany tyłek
dłonie nasze robocze też odcisków pełne
słuchawki telefonu mają odcisnięte
kształty bezpieczne bo martwe i nieme
zanim jej nie ożywią języki spustowe
nasze codzienne — w gardle rdzą zaschnięte
nasza odwaga od wagi wyrasta
ważymy więc wędlinę by móc ważyć siebie
twarze rzeki i lasów też ważymy lekce
strupami ścieków — sadzy smutkiem porośnięte
odwagę swą — poeci — rozważyć by trzeba
czy czułe szalki obie półkule mózgowe
a potem się odważyć zważyć w dłoni wagę
i słowa odważnikiem huknąć kogoś w głowę

DIALOG CODZIENNY

I
zejdźmyż z drogi bo pierze jeno z nas zostanie
twarze walec opony sprasuje z asfaltem
dwie bezimienne plamy przybędą w rejestrach
istot uniwersalnych które wiatr anonim
zapisuje w kominach najbrudniejszych fabryk
a czym człowiek bez twarzy? niemym plastrem błota
pustą ramą w złoceniach
śmietnikiem bez dna

II
głowa do góry panie bracie
bo jeśli prawda jest po naszej stronie
to cieniem prawdy racja jest
i każdy brat nam rację przyzna
myślą — uczynkiem — jasnym słowem
więc środkiem drogi trzeba iść
jak sztandar w dłoniach dzierżąc głowę

WYFRUNĄĆ FRUNĄĆ RUNĄĆ

dokąd nam teraz chmurą jaką płynąć
jak dywan latający rozściela się sadza
bieleją włosy starcom i uda dziewczynom
pośród ciemności która południe przesłania

jeszcze się jabłko słońca żarzy które Ewa
ukradła ze straganu mądrości w województwie niebieskim
było jabłkiem prawdy — odrzuciła je w przepaść nieba
a gorzki kęs wypłuła i stał się księżycem zielonym
do którego przed pierwszym wyją smutni poeci

dokąd nam teraz chmurą jaką płynąć
do czyich wiatrów podanie napisać
grzęźniemy w dostojnej sadzy którą wywiać trzeba
z naszych wierszy i ulic smutnych arlekinów
o językach układnych i podwójnych obliczach

grzęznąć w dostojnej sadzy pytamy się wiatru
który najszybciej wieje — jak najciszej czmychnąć
śladów nie zostawiając ni odcisków palców
by gdzieś ukradkiem w lesie skrywając nazwisko
przeprześć prosić rosić łzami trawę
by jeszcze raz nadzieją zieloną urosła
ukraść pióra ostatnim wronom i wosk pszczołom
i wyfrunąć frunąć runąć w przepaść słońca

KRZYK

jestem człowiekiem wolnym bo na grzbiecie
mogę udźwignąć wszystko co posiadam
ręce mam silne i otwartą głowę
a to wystarczy aby żyć uczciwie
a to wystarczy aby żyć jak człowiek
który
nim zdążył z radości oswiecić
samego siebie z marzeń jął okradać
słuchając tego co ktoś gdzieś tam plecie
wierząc we wszystko co kto gdzieś tam gada
z pozycji mrówki w pawim rezerwacie
i zamiast prosto w słońce orłem frunąć
przed własnym cieniem zginał kark pokornie
tak trudno wypić przysłowiowe piwo
warzone nawet na własny rachunek
czasami jestem mrówką — czasem orłem
zgasłym płomieniem lub pękniętą struną
bladą osiką drzącą lecz prawdziwą
w drzeniu tak ludzkim że godnym milczenia
jestem człowiekiem wolnym bo sam mogę
ocean marzeń w wino słów zamienić
najdłuższe słowa w transparent ułożyć
kroków mierzonych (bez namysłów chwiejnych)
które wiatr tylko zatwierdza lekliwie
pieczęcią kopyt umazanych w błocie
jestem człowiekiem wolnym bo sam mogę
iść w każdej chwili na najdłuższą drogę
bez dumnych podań i tłustych багаży
iść — a po drodze marzyć... marzyć... marzyć...
jestem człowiekiem wolnym — a więc jadę.

w kosmos — i żadna mnie nie wstrzyma siła
ani brzęk monet ani dziecka skarga
ani krwi protest — zawracanej w żyłach
dnia spętanego — czasu jutrzennego
lecz — czy tam ludzi spotkam — zwykłych ludzi
z uśmiechem wzruszeń lub ze złości chmurą?
wolność widoczna jest wśród ludzi tylko
a na pustyni lub wyspie bezludnej
jest niewidzialna jako szaty króla

STAC SIĘ SOBA

kiedy narzekasz na złych ludzi
którzy cię dręczą z wielkiej góry patrząc
co myślisz wtedy i czy w ogóle myślisz
gdy mózg wyschnięty jak zdeptane jabłko
albo jak guma przeżuta wielokroć

możemy tylko ulec ich zamiarom
i lupem zostać w obojętnej ciszy
możemy tylko walczyć ślepią wiarą
że lepiej w boju paść niż drzeć bezsilnie
o — moje myśli rozbite — półzywe

zdlawione myśli splecione rozterki
ta sfora psów zgłodniałych w twojej piersi
czujesz jak warczą szarpia i kają

bezdarność w tobie — ileż przetrwać może
jak zielsko ostu ocalałe z ognia

o — przyjacielu — musisz stać się sobą
i innym być niż oni — wierzyć że z popiołów
wyrośnie drzewo rozłożyste — silne
którego obraz podeprzesz pamięcią
by z twoich myśli za wcześniej nie opadł
jak liść opada — niepotrzebny śmieć

pod dachem drzewa zapomnisz o bólu
drzewu temu jest na imię miłość
miłość jest ponad wszystko
ponad śmierć

BAŚŃ O CZŁOWIEKU UPORCZYWYM

był sobie człowiek uporczywy
co ranka zęgnął się z domostwem
i gnał przed siebie
zastąpić przyrodę
wracał co wieczór połamany
z otwartą raną nie do zagojenia
która się jeszcze zaogniała
pomiędzy niebem morzem i drzewami.
a on z uporem naśladował żywioł
wszelkie przypiływy i odpływy
aż wreszcie stał się sam żywiołem
(przynajmniej według własnego mniemania)
który był wszędzie gdzie go nie posiali
najczęściej wleiał się w oazę ciszy
w cieniu najdalszych — ostatecznych granic
gdzie łamie kark niezłomna fala
gdzie pada niezmożony ptak
gdzie milknie najgłośniejszy wiatr
gdzie wszystko ginie nim się znów odrodzi
gdzie nawet żywioł śmiertelnie zmęczony
kipi lżą piany toczonej bezsilnie
to widział człowiek uporczywy
i to odczuwał na splekanym ciele
bity — kruszony — co dzień od początku
na pograniczu krzyku i milczenia
w szczelinie — której właściwie nie widać
na miedzy — której tak naprawdę — nie ma
od tamtej pory odradzał się rano
bez nienawiści do gwałtownych zjawisk

wdzięczny wichurom dziobom mgłom lawinom
które spadają
jego także niszcząc
z wysokich gór pomrukiem niezaspokojonym

był sobie człowiek uporczywy
wdzięczny za lekcje
którym brak jest ceny

POETA W DOMU

i ja tam byłem

.

1980-1981

1982-1983
1984-1985
1986-1987

1988-1989
1990-1991
1992-1993

1994-1995
1996-1997
1998-1999
2000-2001

2002-2003
2004-2005

POETA W DOMU

CISZA

nikt nie krzyczy
nikt nie szepcze
nikt nie wzdycha

nikt nie śpiewa
nikt nie płacze
nikt nie zgrzyta

wciąż cicho
wciąż ja i cisza
tak gęsta że
oszaleć można

całe szczęście
że to tylko sen

KTO GDZIE

kto ciemnym wstaje płomieniem poza zasięgiem oczu
kto rzekę w kamień zamienia ukryty w tłustym mroku
kto słucha plusku wody uwięzionej w szybach

gdzie jest meta mojego spojrzenia
gdzie się kończy próżnia moich myśli
kto jest we mnie — czy to jestem ja
kto mnie woła kiedy nic nie słyszę
kto to płacze — gdy to ja nie jestem
kto mnie bije — czy to ja nie jestem
kto mnie chwali — albowż to ja jestem
kto mnie sądzi — czy to ja nie jestem
cały
zawsze
we wszystkim
wszędzie

ZWYKŁY POETA

na czwartym piętrze najwyższego domu
mieszka poeta — szary zwykły człowiek
z głową w obłokach — urzędniczą pensją
dwojgiem maleńkich dzieci — świętą żoną
(żony poetów są za życia święte)
cieknącym kranem i wzruszeniem w dłoniach
rozkwitającym brudnymi płatkami
mydlanych baniek — pryskających co dnia
jak sen na jawie — jak mokra pochodnia

miękkie wzruszenie nie znaczy „bezradność”
poeta pierze karmi i przewija
a kiedy zegar — stary kapral czasu
(odziedziczony po dziadku ułanie)
dwanaście razy trzaśnie obcasami
wąsy wskazówek na baczność postawi
witając północ — gdy pogasną głosy
i gdy pośpiechu niestrudzony ogier
zaśnie — gdy radość smutek i nienawiść
miłość i troska ucichną znużone
w czterech kątach domostwa
w czterech świata stronach
gdy za oknem pokoju biała flaga pieluch —
kapitulacji milcząca pokora
staje się żaglem okrętu poezji —
szary poeta wychodzi na balkon
oddycha szerzej — ciemnym wiatrom wierzy
zagląda w oczy zabląkanym gwiazdom
wypływa w bezmiar świeżej wyobraźni
szczerze zdumionej jak spojrzenie dziecka
rozbudzonego po koszmarnym śnie

poeta dzieckiem bywa — dużym dzieckiem
kiedy pisze wiersz

pisanie wiersza — nocne żeglowanie
niewiele słyhać — widać jeszcze mniej
szary poeta drogę zna na pamięć
serce w nim rośnie — busola sumienia
drga i nabrzmiwa — czerwien wchłania czerń

na czwartym piętrze najwyższego domu
mieszka poeta — młody skromny człowiek
zwykły urzędnik krótko ostrzyżony
trochę zmęczony — trochę roztargniony
gdy sieć zakupów wytrząsa na stole
złotej rybki radości szukając uparcie
w noc każdą siodła rumaka balkonu
kosmiczny pojazd poetyckich marzeń
co noc żegluje ku oazie prawdy
czas utracony próbuje dogonić

a kiedy iskra brzasku się zapali
i nocy braknie na szukanie siebie —
młody poeta goli się w łazience
spodnie prasuje i do biura biegnie
z ludźmi rozmawia — kolej rzeczy chwali
w domu pierze pieluchy
w nocy pisze wiersze
dzieci do snu układa

pisze

i tak dalej

i tak dalej

i tak dalej

i tak da...

i tak...

i...

i...

i...

WIELKI WSPANIAŁY POEMAT

to wszystko co napisałem — jest mało ważne
to wszystko co przecierpiałem — jest mało ważne
przed kwadransem
w szpitalu przy ulicy Staszica
urodził mi się syn
to jest dopiero poemat!!!!!!!!!!

Lublin, dn. 20 IX 1976 roku

O LESIE

co to jest las?

las — synku — to jest żywy zabytek
najprostsze najspiewniejsze połączenie
zieleni z błękitem

co to jest las?

las — synku — to zielone muzeum
po którym dudnią stada brudnych butów
rozpanoszonych bez biletu

muzeum — synku — pustoszeje
pośród złego krzyku i echa
drzew coraz mniej

co to jest las?

las — synku — to soczysta pieśń
pieśń cichnie — gdy zielen czernieje
gdy w płucach sadza — nowoczesny chwast
a las to nasze płuca właśnie

co to jest las?

chodź — synku — zasadzimy drzewko
zobaczysz sam

.

co to jest las — tatusiu —

cóż to jest las?

O ŚNIEGU

co to jest śnieg?

- śnieg — synku — to najjaśniejsza bajka
- to srebrnych pszczołek rój
- z nieobjętego niebieskiego ula
- (te pszczołki nie użądła
- nie trwóż się — synku mój)
- płatki wiśni kwitnącej
- gdzieś na wierzchołku wszechświata
- (te płatki nie trysną sokiem
- krwistych dojrzałych owoców
- nie ludź się — mój malutki!)
- strzępy białych aniołów
- które w kosmicznym gniewie
- targają się za włosy
- (to anielskie włosy choinek
- w dziecięcych snach się skrzą)

a co to anioł?

- to — synku
- symbol dobrych uczynków
- to rycerz z bajek w których
- dobro zwycięża zło

co to jest śnieg?

- śnieg — synu — to zmarznięta woda
- taki zimny oddech przestworzy
- takie wiatru zziębnięte lzy
- śpij już
- syneczku
- śpij

dlaczego pada i pada?

czy nie zasypie okienka?

czy nie zawali dróg?

nie — synku — trzecie piętro
to jest wysoko — wysoko
tu nawet śmieci nie cuchną
nie wywożone przez miesiąc
a jeśli nawet zasypie
to tylko takie okno
które robotnik porzucił
na stercie innych okien
jak niepotrzebny śmieć

a śnieg równiutko pada
zakrywa ten bałagan
zakleja białym plastrem
wrzód na wielkiej budowie
by wstęgę złotą przeciąć
mógł jakiś wielki człowiek

o — dróżkę już zawiąło
chodźmy — pokażę ci śnieg
tatuś weźmie dużą łopatę
a ty maleńką łopatkę
odgarniemy zimne zmartwienia
nim kłopoty stopnieją w snach
zanim powódź zaszumi na wiosnę
nim zahuczy ogromna woda
po ulicach podwórkach ogrodach
i utoną zardzewiałe łopaty
w obojętnych krokodylich łzach
a te łzy — to już wiesz — syneczku
to jest śnieg — roztopiony do cna

chodźmy
śniegu już coraz więcej
śnieg jest zimny
jak znieczulica

znieczulica?
to trudne słowo

kiedyś sam je zrozumiesz

sam

co to jest śnieg — tatusiu

co to jest śnieg?

O KOŁYSCE

co to jest kołyska — tatusiu?

porozmawiaj ze mną nareszcie

kołyska — to ciepły zakątek
wydrążony dłonią matki w drzewie
ściętym — martwym — a jednak szumiącym
kołysanki o śpiących rycerzach
którzy kiedyś przeszli Wisłę i Wartę

ależ ja mam tapczanik — tatusiu

w tym segmencie który tatuś załatwił

gdzie kołyska? co to jest kołyska?

może ona w muzeum sobie stoi

gdzieś tam w kącie zakurzony grat?

kołyska — to grotą snów moich
beźmierna — nieograniczona
najbliższa — najodleglejsza z gwiazd
zamierzchnia w wiekach dzieciństwa
małomówna wielce towarzyska
daleka — daleka — daleka
ale żeby nawet najdalej
to ma w sobie tak potężną siłę
że z ciemności nas cichutko przyzywa
i wracamy — jak się wraca do siebie
do matki — do ojca — do pracy

ależ ja mam tapczanik tatusiu

w tym segmencie który tatuś załatwił..

kołyska — syneczku — to dom twój

dom to kraj — kraj to praca ucziwa

kołysankę uroczystą co dnia

w twym radyjku słyszysz: „Jeszcze Polska...”

tatusiu — co to jest kołyska?

tego słowa dziś się nie używa...
gdy dorosisz — zrozumiesz że ojczyzna
Polska matka patriotyzm dom rodzina
to są słowa które w kołysce kwitną
więc jeśli zechcesz — synu
zrobić z tych kwiatów bukiet
i ofiarować go matce —
musisz znaleźć swoją kołyskę
na własny rachunek żyjąc
a będziesz żywy tak długo
jak długo — synku — żyć będziesz
dla kogoś innego
kołysanka — to hymn kołyski
najpiękniejszy hymn
więc — póki my żyjemy
i ty — synku — będziesz żyć
ależ ja mam tapczanik — tatusiu
a ty wciąż o kołysce
dlaczego?

ROZMOWA

tatusiu — co to fregata?

fregata — synku — to ptak
oceaniczny — wiosłonogi
o długim ogonie i skrzydłach
dziobie dłuższym od głowy
nogi krótkie — palce spięte błoną pławną
doskonały marynarz i lotnik

tatusiu — co to fregata?

w jakich krajach — w jakich stronach świata?

fregata zamieszkuje oceany
wyspy tropikalne
w okresie godowym — synku —
fregacie czerwienieje podgardle
wydyma się jak skórzany balon
jak krwisty żagiel
czasem
przysiadzie fregata na fregacie
ptak na żaglowcu spocznie
czerwień się wtopi w biel
róża
ze śnieżnej płachty wyrośnie

czy to jest piękne — tatusiu?

tak — synku
takie piękne i
polskie

KIEDY POWSTAJE FREGATA

kiedy powstaje fregata
placzą w lesie najpiękniejsze świerki
strzeliste dorodne

placzą ze szczęścia

kiedy wyrasta fregata

stoczniovcy stają się piękniejsi

dostojność i elegancja

ich twarze uszlachetnia

kiedy się rodzi fregata

smukły pełnorejowiec

dzieciaki w marynarskich czapkach

otwierają buzie

i czym prędzej kompletują załogę

kiedy zakwili fregata

na świecie staje się jaśniej

a z pożółkłych kart książki żeglarskiej

wyglądają przebudzone barki

barkentyny i brygantyny

brygi kecze jole i szkunery

kutry slupy — zerkają ciekawie

na ten obrzęd już niecodzienny

na to śpiewne żaglowe święto

na ten statek wodny po prostu

którego głównym pędnikiem

są nieśmiertelne żagle

PRZESŁANIE Z OKAZJI NARODZIN

nadaję ci imię „Dar Młodości”
bo darem jesteś młodych rąk i serc
płyn — dumny ptaku oceaniczny
przez słońce — mgły — obłoki mór podniebnych
i rośnij w siłę — jak słony morski wiersz

piękny — ptaku — gdy skrzydła otwierasz
w strugach wiatru rozkwitająca biel
bukiet żagli — biały oddech przestrzeni
nieśmiertelny — niedościgły pęd

gdybym błdził na oceanie życia
zaczął tonąć w zatrutym śnie
zabrzmi — jak mazurek Szopena
bądź ostatnim zakątkiem polskości
biało-czerwoną oazą
odnanioną we mgle

O MATCE

o matce napisano tysiące wierszy
a wiersz od wiersza piękniejszy
a każdy wiersz to pozłacany pomnik
maszerują czwórkami wiersze
lukrowane nagrobki
ze słów marmurowych
ze słów laurowych
ze słów luksusowych
ze słów tombakowych
ze słów alabastrowych
ze słów
ze słów
ze słów

a matki
przeważnie w biegu
na najdłuższym z wszelkich dystansów
na czytanie pięknych wierszy nie mają akurat czasu
ogniska rąk rozpalają o świcie
grabiami rąk przeczesują ogródek
klamrami rąk ściskają ostatnie sto złotych
i rąk obcęgami naprawiają studnię
wieczorem gasną trochę i kalendarz dłoni
wieszają na spojrzeniach tu pod najświętszym obrazem
przed snem kantyczki ślinią
czasami ukłękną
i przed telewizorem (na wszelki wypadek)
bo matka — syneczku — jest zwyczajną kobietą
może tylko bardziej zmęczoną od innych kobiet

dlatego — synku — nie buduj matce pomników
odkurzanie dodatkowych mebli to kłopot dodatkowy

już lepiej — synku — wynieś wreszcie te śmieci
zmyj chociaż raz naczynia
posprzątaj po sobie

PYTANIA RETORYCZNE

czy mógłbyś — synu — zastąpić mnie fiatem?
zamiast mamusi postawić komputer?
na kalkulator zamienić siostrzyczkę?

zielony dywan trawę ci zastąpi?
a lampa solux jaśniejsza od słońca?
radio stereo zamiast ludzkich głosów?
program telewizyjny bogatszy w kolory
niż szare sytuacje w tym świecie za oknem?

MODLITWA DO ŻONY

- kucharko — prawie ugotowana w tętniącym kotle kuchni
cała w krwawej posoce wiśni drelowanych nocą
- praczko zgięta w pokłonie nad wanną pełną moich koszul
- panno służebna od szczotki i ścier które schną nie
nadażą
- mistrzu obcęgi i młotka gdy mąż właśnie musi z muzą
płodzić (wiersze)
- tragarzu wszelkich problemów — niańko krzyków
i dąsów
- ordynatorze pediatrii i psychiatro na własną rękę
- salowo domu wariatów który cichnie dopiero
w ciemnościach
gdy nasze pieścidełka dobranockę przezuwają przez sen
- kochanko o każdej porze bez względu na pogodę
ducha i ciała — żono — żono słona od łez
- właścicielko czerwonego dyplomu z czarnym napisem
„magister”
i marzeń o malarstwie (na razie wyrzuconych na strych)
- blondynko najczulszych pieszczot — moja — moja
wspaniała
żono — jedyny przyjacielu na pstrych targowisku chwil
- skarbonko moich pragnień
czuły śnie powracający wciąż
- święta Anno Mario
bądź z nami wszędzie
bądź z nami zawsze
bądź ze mną
dniami i nocą
bądź

LIST Z BEZLUDNEJ WYSPY

jak w tym domu zimno — jak pusto
obcy kurz — szara mgła nad podłogą
patrzę z lękiem na poblądle lustro
i nie widzę w pustym lustrze nikogo

dom maleje — znika — jest punkcikiem
punktem karnym w tej grze bez nazwy
czekam — czekam! — wracaj jak najszybciej
kwiaty wędną — z kątów straszą majaki

kiedy wrócisz — zamuruję drzwi
wszystkie okna zamaluję na białą
i słów twoich radość będę pił
jak cudowne potężne lekarstwo

zegar zniszczę — niech nas nie podgląda
dzień się z nocą zbrata — wieczór z ranem
aż się zrosną nasze ciała w gorące
wejdę w ciebie — i w tobie zostanę

TKLIWOŚĆ

ty — jesteś sumą wszystkich kobiet
których pragnąłem kiedykolwiek
kiedy siedzimy przy tym samym stole
i kiedy dzieci skaczą ci po głowie
tworząc radosną aureolę
niezastąpioną świętą dla mnie jesteś
aż strach pomyśleć co by było gdyby

na razie czworo jest nas w czterech ścianach
cztery oddechy jednym są oddechem
na razie dla nas jedna strona świata
ciepła i żywa bo pachnąca mlekiem
a mleko zawsze ma radosny zapach

ja — jestem sumą wszystkich mężczyzn
których kochałaś kiedykolwiek
a dzieci będą sumą nas obojga
piękniejsze o to — co na twojej twarzy
mądrzejsze o to — co we mnie się praży
zanim wyrośnie najzwyklejszym słowem

JAK TRUDNO WPISAĆ CIĘ W PRZYRODĘ

jak cię wpisać w przyrodę by jej doskonałość
rosła w twoich ramionach — krzepła w twoich biodrach
dziełem tak delikatnym w różowej krągłości
jakby ją wyczarował najwrażliwszy tokarz

ścian ucichłych łagodność — soczewka kolorów
sylwetka — to widnokrąg aż do skraju lasu
nogi — drogami pragnień aż do zdercia skóry
ramiona — ciepłym niebem — perspektywą trwania

zwiewne kształty jedwabiu i plastry bawełny
to barwne liście które spadają pod jesień
gdy z gorącości mowy owoc już dojrzewa
otulany pieluchą by nie zmarzło serce

świat będzie twą kaplicą źródłem i tancerzem
choćbys czasem zatańczyć musiała i w próżni
piękno powinno milczeć z cierpliwym uśmiechem
jak też dokoła piękna panować milczenie

JESTEŚ WCIAŻ PRZY MNIE

czasami milczę obok twojej twarzy
i chwastem ciszy zarastają usta
nawet gdy kwiatem obrzęku to nazwiesz
ta sama próżnia będzie między nami
ta sama — choćby nie nazwana — pustka
choć nie tak trudne są rozstania
i potem bliższe niż myślałaś
choć głowa gładko uczesana
mózg cicho krwawi — noc się spala —
purpura jest pod czaszką skryta
i mdłym uśmiechem namaszczona
nie widać jej — lecz w sercu słyhać
bólom uprzejmym — iza stłumioną
odchodzę co dzień — co noc wracam
na nowo liczyć włosów twych zawilość
bo dokąd pójść gdy już posiadam
wszystko
tak — wszystko — nawet miłość
za czym więc gonić
czego szukać więcej...
jesteś wciąż przy mnie
zasypiają ręce

WIĘZY

związałem cię miłością
nie lękaj się miła
kocham cię
i moje więzy są wolnością twoją

razem zmierzmy ciemność
sięgniemy jej dna
twarz spośród kości wyjmiesz
z masek ją rozbierzesz
naprzeciw myślom naszym
nadpłynie natura

MIŁOŚĆ

i znów powracam — maliny w słoju kipią
przed drzwiami strząsam z ubrania fałszywe uśmiechy
wycieram buty — wszelkie brudy zostawiam za progiem
i wchodzę tam — gdzie ktoś na mnie czeka

i znów powracam — synek ze szczęścia płacze
rozkwitają zielenią obite na zakrętach oczy
córka do mnie się tuli — żona oddycha inaczej
i to jest w moim świecie najpiękniejszy erotyk

GAUDEAMUS Z TABLICZKĄ DYPLOMU
NA SZYI

oślepiem przed dwunastu laty
było chyba kwadrans po pierwszej
otrzymałem dyplom magisterski
w nowoczesnym trzypiętrowym gmachu
na którym dwa razy dziennie
zegar wydzwania „gaudeamus”

przyklękłem na oba kolana
z tabliczką dyplomu na szyi
wielu mędrców złotoustych mnie mijało
z resztkami słów w kącie ust przegniłych

gaudeamus dwa razy dziennie
słyszałem jeszcze jakiś czas
a potem
wrosłem w ziemię
głuchnąc
od dobrych rad

MOTYW BOLESNY

poeci unikają poetów bo cóż za cierpienie
zza murów własnych masek widzieć maski czyjeś
i kluczyć w błędnym kole tego samego pytania
co on chciał przez to powiedzieć — co się za tym kryje

poeci unikają sytuacji gładszych
niż smar na wielkim ciełe męźnych zapaśników
obmywają się z błota — żują dobre rady
a potem i tak piszą — zupełnie sami
a potem i tak piszą
coś
co jest tylko z ich serca prywatną muzyką

KOMUNIKAT

w pierwszym programie telewizyjnym
usta uroczej pani W. wyszeptaly komunikat:

„zagineła czysta poezja — wiek około 2000 lat
cechy szczególne — humanizm i prostota
ubrana w zieloną trawę — oszczędna w słowach
liryczna
ktokolwiek by wiedział o jej losach
niech powiadomi kogo trzeba”

zagineła czysta poezja — szukają jej smutni poeci

- w publicznych knajpach
- na publicznych dworcach
- w publicznych hotelach

nie ma!

- w tajnych kompletach
- tajnych melinach
- tajnych burdelach

nie ma!

- w korzeniach drzewa
- u źródła rzeki
- wewnątrz kamienia

nie ma!

- w załączni nieba
- w jaju ptaszęcia
- w środku płomienia

nie ma! nie ma!! nie ma!!!

a czysta poezja tymczasem
ze strachu przed kontestacji straszakiem
zeszła w głąb ziemi
i czeka
od kretów mądrych po szkodzie
ucząc się sztuki patrzenia

INSTYNYKT BOHATERSTWA

młody poeta wstaje do wiersza
rozbiyska metaforą i ginie w milczeniu
już sobą nie jest ale słońcem radości
która wschodzi jak tęcza i jak oset
zachodzi
a nocą — straszą go hiszpańskie brody
krzaczaste brwi gładkich snów
zakłamanych aż po dzień urodzin
aż po brzuch

słońce poecich metafor dławi się w szarej kopercie
i gaśnie pod twardym stemplem jak rozpaczliwa

rakieta

w której cieniu nic nowego
nie zobaczy młody poeta
a która jego twarz dokładnie oświetla
jak do listu gończego
do wilczego zdjęcia
rozebranego ze słów

młody poeta pyta „dlaczego dlaczego”
„dlaczego słońce o świcie zaszło
choć nie wstało wcale”

młody poeta jest pod wrażeniem filmu
zagubionego na łące
pachnącej ojcowym strachem
wonią garbatych rąk ojcowych
mądrych jak korzeń mandragory
jak zasypany dół

młody poeta wygląda dziwnie
ma brodę wąsy fajkę luksus własnego zdania
młody poeta wstaje do wiersza i
natychmiast siada

„państwo pozwolą że będę siedział”
biaga

„a zresztą mój dzielnicy
już dawno mi to obiecał”

młody poeta siedzi
i uśmiecha się blade
język mu się płacze i drży
(ze wzruszenia?)

chciałby za wiele
za wiele na raz powiedzieć
znaczone karty wyłożyć
na wyznaczony stół podrzucić
i siebie

ocalić
ocalić od zapomnienia

SPOWIEDŹ POETY CHOREGO NA PRZEWLEKŁY OPTYCYZM

słońce mojej radości wschodzi przeważnie raz na dzień
i gwałtownie wysycha w temperaturze uczuć
a potem się odradza w rodzinnych trawach
dzieciństwem zapomnianym nie na zawsze

słońce mojego wiersza wschodzi przeważnie raz na
dzień
czasem trafi na świecznik — przycupnie na chwilę
i spada — pchnięte podmuchem uprzejmej zazdrości
tak bezinteresownej — tak szczerej — jak zgrzyt
zębów

jak wilczy bilet
słońce mojego lęku wschodzi przeważnie raz na dzień
ślizga się po orbicie lśniącej wazeliną
wypada z niej i
gaśnie

wszystkie moje słońca
straciły orientację
Mikołaj Kopernik zapewne
nie o tym nie wie
jeszcze
wszystkie moje słońca straciły orientację
oficjalną
grawitują w prywatnym kierunku
gdzie
na dnie oceanu słów
śpi moje słońce
piąta strona świata

CORAZ SZYBCIEJ

no i cóż w tym dziwnego — zgrzyt za zgrzytem pędzi
zęby oczy opony buty i muzyka
równym krokiem dziś chodzi tylko oddział wojska
zanim wschód się rozczuli już go zachód brudzi
i coraz krótszy dystans między kołyską a grobem
choć między źrenicami coraz dłuższa droga
kryształ powietrza chudnie
ciemną mgłą pęcznieje

miłość życia czerwone usta ma najczęściej —
choćż ziemię otacza błękitna powłoka
widzą to kosmonauci
poprzez szczelne okna

NIC CO LUDZKIE

tak — czasami wielkie marzenie
może zdławić kilka mniejszych marzeń
zasiuchani w to — co gdzieś tam na niebie
nie widzimy ptaków nad miastem

gdzieś tam wojna na pustynnych piaskach
tak — popieram pokój z całej siły
ale kiedy maleńki słowik
oszałamia uroczym tirlu tirlu
ponad bzami — ponad słowami
to przecież po prostu piękne
a gdy piękne — to również ludzkie
między nami
między wierszami

ROŚNIE STOS

tak to już jest — mój północny poeto
żółte liście wiatr porywa — i porywa nas
las nie żąda zwrotu żółtych liści
o nas też nie upomina się nikt
choć z liśćmi wymieszani
nad przepaścią się tułamy
nad urwiskiem zapomnianym
dumając jak żyć

tak to już jest — mój północny poeto
czy byłeś kiedyś tak przez wiatr porwany
że ni uciekać ani też się czepiać
innych liści — nad kipiela drząc

zeszłe liście opadają na ziemię
co to jest? to jest piękna ścieżka
w czerwono-żółte desenie

żółte liście opadają na ziemię
co to jest? to jest krwotok
z czerwono-żółtej flegmy

jesteśmy liśćmi — mój drogi
a drzewo które nas rodzi
jest obojętne
na los zeszlých żalonych liści

masz rację — żyć nam pozwala
ale umierać nie broni
rośnie stos śmieci
sucho szeleszczący stos

POEZJA NIE JEST ZBYT GŁADKIM TOWAREM

rzekł północny poeta: nie ja się powtarzam
to świat nasz się powtarza obrazem tym samym
wszędzie ludzie ci sami w tępej zachłanności
jeża poezji chwytają gołymi rękami

CZY TYLKO DZIECKO

ze wszystkich uczuć grzeczność trwa najdłużej
tak powiedziałeś — północny poeta
chciałbym zaprzeczyć ale serce nie chce
bo przecież miłość u nas w manifestach
najczęściej barwą kryształową świeci
a tak na co dzień nie jest zbyt gorąca
(pomijam miłość dwojga zakochanych)

trafiłeś w sedno — północny poeta
malując obraz dworcowych pożegnań
oto dwie grupy dobrze wychowane
w poprawnym goście machają nawzajem
a potem głowę w kołnierz zapomnienia
by szybko nowe obowiązki czynić
i nagle dziecko na ramieniu matki
niby meteor nieoczekiwany
urokiem ząbków dwóch do nich się śmieje
naraz do wszystkich do wszystkich do wszystkich!

czy tylko dziecko szczerze się uśmiecha
ot bez powodu — w spontanicznym goście
a skoro o pociągach mowa
to jeszcze jedno tak ważne pytanie:
jeśli już jedziesz północną koleją
czy musisz myśleć jej koleinami?

WYTRWAŁOŚĆ

kiedy oddychasz pełną piersią
czy myślisz o tym że oddychasz?

albo że kiedyś oddychać przestaniesz
i sny ulecą pełne pięknych wierszy
a snów tak szkoda gdy świeżością pachną

o — jakże łatwo — północny poeta
zwać w ucziwość tego co się pisze
a czyż poeta żegluje z rozpędu
czyż siła wiatru do snu go kołysze?

BROŃ MNIE BROŃ!

wracam do ciebie po latach milczenia
o zdrowie pytam — kurz wycieram z twarzy
znow chcę być z tobą — nim zacznę się zmieniać
zanim kręgosłup popęka od szarży
wielkich zaszczytów — ukłonów jednakich
wygiętych w kablak znaku zapytania
nad dalszym sensem tresury snów — marzeń
o twarzy która kolorów nie zmienia
gdy wiatr zawieje — dziejowy towarzysz —
o portkach — o pętakach gwarząc

wracam do ciebie po latach milczenia
ziemia jest grzeszną pieśnią — a ty jej zapachem
i dzwonkiem alarmowym — moim orzeźwieniem
gdy stają się odważny
wobec tych — co upadli

wracam do ciebie po latach milczenia
wierszu głuchoniemy — psie wierny
mój wierszu
broń mnie
broń

WRÓCĘ W CZTERY ŚCIANY

na starość oczy szkłem wyblakną
odgarniesz od nich późne światło
w uszach wyrośnie szara łąka
szumem cmentarnym rozświetniona

słodycz powietrza mnie opuści
serce za gardło ściśnie pazurami
mózg się zamroczy klinem chmur wieczornych
i rak zazgrzyta nożycami bólu

i radość wody przepadnie bez śladu
gdzieś pycha ognia zaginie bez wieści
nadzieja ziemi też zwiędnie powoli
i tylko groza rośnie coraz gęściej

być może wtedy wrócę w cztery ściany
domu dzieciństwa — do matki — do pracy
i z potem spłynie trucizna milczenia
jak deszcz bezdomny po psach zeszlórocznych



SPIS TREŚCI

CZARNOLESKI SYNDROM

Odruch warunkowy	7
Dziedzictwo	8
Nad artykułem o bezpieczeństwie [...]	9
Nad pustym drukiem deklaracji	10
Sumienie — cień odwagi	11
Śnił mi się sen	13
Nad prognozą rocznika [...]	14
Królestwo moich marzeń	16
Stoję na czczo przed wami [...]	18
Pytanie retoryczne	20
Dobra rada — szeroki gest dziejów	21
Łatwo — łatwiej — najłatwiej	22
Oliwa mądrości	23
Rutyna	24
Jeszcze jeden apel [...]	25
List do władcy moich snów	27
Widzę to wszystko na odwrót	28
Pajęczyna	30
Ja-tłum [...]	31
Zaprosicie nas do stołu	32
Noc	33
Jak uwierzyć	34
Po obu stronach kraty	35
W krainie wygodnej obojętności	36
List do przyjaciela	37
Do sprzedawczyków	38
Wyścigowy tren	39
Historia o łzie	40
Skala wartości	41
Podwójność	42
Świeże powietrze poezji	43

Żona	44
Złość w pajęczynie czasu ukwiecona	45
Wtórny analfabetyzm	46
Nieśmiertelność warunkowa	47
W zgodnym rytmie poloneza	48
Godność	49
Ja — organizm zbiorowy	50
Kwestia interpretacji — kwestia czasu	51
Ech wino buntu wino słów	52
Toast	54
Między	55
Ostatnia deska ratunku	56

DRUGA TWARZ HEROSA

Sen I	59
Sen II	59
Sen III	60
Sen IV	61
Sen V	61
Sen VI	62
Sen VII	63
Sen VIII	63
Sen IX	64
Sen X	65
Sen XI	66
Sen XII	66
Sen XIII	67
Sen XIV	68
Sen XV	68
Sen XVI	69
Sen XVII	70
Sen XVIII	70
Sen XIX	71
Sen XX	72
Sen XXI	72

Sen XXII	73
Sen XXIII	74
Sen XXIV	75
Sen XXV	76
Sen XXVI	76
Sen XXVII	77
Sen XXVIII	78
Sen XXIX	78
Sen XXX	79
Sen XXXI	80
Sen XXXII	81
Gra słów	83
Kierunki marszu	84
Najłatwiej najtrudniej	85
Miasto odrodzone	86
Dwugłos	87
Dobrze	92
Jeszcze jedno bzdurne zabójstwo [...]	93
Glossa	94

UCIERANIE MAKU

Baśniowy sen poety	97
Słowo czynem	100
Dyskusja o świętości	101
Patriotyzm	103
Hymn pisany pod ziemią	104
Oto bajka najprawdziwsza	107
Oda do naszej młodości	108
Oracje nasze	109
Odwagi wagi naszej [...]	110
Dialog codzienny	111
Wyfrunąć frunąć runąć	112
Krzyk	113
Stać się sobą	115
Baśń o człowieku uporczywym	116

POETA W DOMU

Cisza	121
Kto gdzie	122
Zwykły poeta	123
Wielki wspaniały poemat	125
O lesie	126
O śniegu	127
O kołysce	130
Rozmowa	132
Kiedy powstaje fregata	133
Przesłanie z okazji narodzin	134
O matce	135
Pytania retoryczne	137
Modlitwa do żony	138
List z bezludnej wyspy	139
Tkliwość	140
Jak trudno wpisać cię w przyrodę	141
Jesteś wciąż przy mnie	142
Więzy	143
Miłość	144
Gaudeamus z tabliczką dyplomu [...]	145
Motyw bolesny	146
Komunikat	147
Instynkt bohaterstwa	148
Spowiedź poety [...]	150
Coraz szybciej	151
Nic co ludzkie	152
Rośnie stos	153
Poezja nie jest zbyt gładkim towarem	155
Czy tylko dziecko	156
Wytrwałość	157
Broń mnie broń!	158
Wróć w cztery ściany	159

Następny cykl – „Druga twarz Herosa” – kontynuacja rozpoczętego w *Schodach bez końca* filozoficznego poematu o losie poety.

Trzecia strona poetyckiego świata to cykl „Ucieranie maku”, powstały w tonacji romantycznej, zestaw tak jednoznacznych utworów jak „Dyskusja o świętości”, „Patriotyzm” czy „Oda do naszej młodości”.

Czwarta ścieżka – „Poeta w domu” – zmierza tam, dokąd prowadzą w ostatecznym rozrachunku wszystkie drogi poetyckich doświadczeń Henryka Makarskiego – do rodzinnego domostwa. „Gdybym był człowiekiem samotnym, nie byłbym z pewnością człowiekiem normalnym” – stwierdził w jednej z radiowych audycji poetyckich.

XIII B

Mo.

B